

STOP WYCINCIE W PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ



fol: Radosław Sto

Białowieża: blokada harwesterów



Toruń: Blokada Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych



Poznań: pikietą w obronie Puszczy

fol: Radosław Sto

Puszcza Białowieńska jest jednym z ostatnich, naturalnych lasów. Jakakolwiek wycinka w tak wrażliwym ekosystemie powoduje ogromne straty. Mimo to właśnie teraz na naszych oczach dokonywana jest na niej bezwstydna degradacja w imię zysku i partykularnych interesów!

Dla rządu PiS z ministrem Szyszko na czele, a także dla Lasów Państwowych oraz powiązanych z nimi środowisk biznesowych, Puszcza jest solą w oku, z której uciekają miliony zyski. Po raz kolejny udowadniają oni, że natura to dla nich wyłącznie potencjał do stworzenia wielkiej fabryki drewna – więc podstępem chcą zmieniać Puszczy w kolejną monokulturową uprawę gospodarczą. Nie wahają się w tym celu wprowadzać w błąd ani manipulować informacjami, ignorując zdanie społeczeństwa, lokalnych społeczności, organizacji pozarządowych, naukowców oraz międzynarodowych instytucji. Nazywają wszystkich, którzy są odmiennego zdania, ekoterrorystami lub pseudoekologami, tymczasem to właśnie oni przeprowadzają zamach na bezcenny przyrodniczo obszar.

Od kilku tygodni prowadzona jest wycinka na niespotykaną dotąd skalę.

W Puszczy pojawiły się harwesty – maszyny wycinające 200 drzew dziennie. Wycinki objęły ponad 100-letnie drzewostany, czyli puszczańskie mateczniki. Aktywiści i aktywistki stworzyli na miejscu obóz i zatrzymują codziennie ciężki sprzęt rujnujący ogromne obszary. Kolejne nadleśnictwa wprowadzają więc zakaz wstępu do lasu, by ukryć skalę dewastacji i móc represjonować obrońców Puszczy Białowieńskiej.

Musimy dołożyć wszelkich starań, by w jak największym stopniu przenieść ten protest z poziomu walki aktywistów proekologicznych na poziom protestu społecznego! Przykłady europejskie pokazują, że jest to możliwe. Potwierdza to również coraz większe zainteresowanie tematem i oburzenie, jakie wzbudza w ludziach postępowanie władz wobec Puszczy. Dlatego przyłącz się do osób walczących w Białowieży lub wesprzyj obronę Puszczy, dołączając do protestu w swoim mieście! Do tej pory odbyły się już akcje w Toruniu, Poznaniu, Bydgoszczy, Katowicach, Trójmieście, Częstochowie, Rzeszowie, Krakowie i Warszawie. By odnieść sukces, potrzebujemy działań nie tylko na miejscu wycinki, ale też wszędzie tam, gdzie głos sprzeciwu może zostać usłyszany!

Nie ma kompromisu w obronie Matki Ziemi! Dlatego wspólnie protestujemy pod biurem PiS na ul. Św. Marcin! Mówimy stanowczo NIE wobec prób przejęcia całkowitej władzy nad lasami! Nie ma naszej zgody na oddawanie w ręce nielicznej grupy rządzących tego, co stanowi dobro wspólne! Jeśli nie włączymy się w działania na rzecz Puszczy już teraz, w przyszłości może być na to za późno!

CALAIS JUNGLE

OTWÓRZMY GRANICE

„Wszyscy jesteśmy ludźmi, ludźmi tego świata, jesteśmy wolni” – takimi słowami zaczyna się manifest wydany przez mieszkańców obozu-Dżungli.

„Jesteśmy równi. Część z nas ucieka przed wojną, konfliktami, przemocą i wyzyskiem. (...) Opuściliśmy nasze domy, bo chcemy żyć w pokoju. Nie lubimy Jungle nie przez to, co się tam dzieje. Oczywiście jest, że nie chcemy tak żyć. Nie chcemy jednak być też ofiarami eksmisji, wyszarpywani siłą ze swoich domów, maltretowani i upychani w autobusach po to, aby ostatecznie zostać deportowanymi. (...) W naszych krajach też nie zaznamy spokoju. Odbędziemy tę podróż raz jeszcze, oddając się w ręce handlarzy, będziemy zmuszani do pracy i prostytucji, aby zapłacić za przewiezienie, będziemy przeprawać się przez morze, które widziało już tysiące naszych tonących braci i sióstr, których jednak żaden rząd już nie pamięta. (...) Nie chcemy likwidacji, ponieważ chcemy mieć wybór. Chcemy mieć wybór podróży dokądkolwiek”.

Od końca lat 90. znacząca ilość imigrantów, głównie z terenów Afryki i Azji, zaczęła gromadzić się w okolicach francuskiego miasta portowego Calais, poszukując sposobności na przedostanie się tunelem na terytorium Wielkiej Brytanii. Znaczna liczba imigrantów doprowadziła do tworzenia się licznych obozów i koczowisk w okolicach Calais. Jednym z największych i najbardziej przystosowanych do codziennego życia była Jungle (pol. 'dżungla'). Z czasem obóz przerodził się w małe miasto z własną infrastrukturą, pojawiła się tam sfera społeczna, kulturalna i religijna. Z czasem pojawili się również przedstawiciele różnych organizacji pozarządowych i aktywiści.

DLACZEGO WIELKA BRYTANIA? POWODÓW JEST KILKA

Po pierwsze, zróżnicowany w krajach Europy poziom zagrożenia deportacją oraz różne szanse na uzyskanie azylu.

Mimo że w Sudanie (Darfur) od 50 lat toczy się wojna, a konflikt ten wywołał obecnie największy kryzys humanitarny na świecie, niektóre kraje Zachodu nie dają mieszkańcom tych terenów dużych szans na schronienie, często „lekką ręką” deportują ich na pewną śmierć. Władze Wielkiej Brytanii okazują się w statystykach dużo przychylniejsze dla mieszkańców Sudanu.

Innym narodem, który ma o wiele większe szanse na azyl w Wielkiej Brytanii, są mieszkańcy Iranu. Według tego, co mówią imigranci, większa część wniosków o azyl jest rozpatrywana przez rząd brytyjski pozytywnie. Kolejne grupy uchodźców tworzą mieszkańcy Afganistanu i Pakistanu.

Kolejnym ważnym powodem jest czas oczekiwania na decyzję o udzieleniu ochrony oraz warunki, w jakich żyje się podczas tego oczekiwania.

Czekanie jest najgorsze – nie istniejesz do momentu, aż nie uzyskasz papierów. Przydzielają cię do wieloosobowego pokoju, przeważnie na jakimś zadupiu w opuszczonej szkole. W Anglii perspektywa jest jednak najkorzystniejsza – zapewniają dobre warunki życia w czasie czekania na azyl. Po kilku dniach w areszcie dostajesz WŁASNY pokój w przestrzeni wieloosobowej.



Brutalne wysiedlenie obozu dla uchodźców w Calais.

Bardzo wiele osób stara się dołączyć do swoich rodzin. Przeważająca część migrantów pochodzi z terenów byłych kolonii brytyjskich. Dlatego przybijając do UK, nie zaczynają od zera, nie są osamotnieni – mają rodzinę, przyjaciół, znajomych. Poza tym Wielka Brytania daje duże szanse na późniejsze łączenie rodzin. Procedury migracyjne są tu o wiele przystępniejsze niż w innych krajach Europy.

POLICJA – RÓŻNY POZIOM TRAKTOWANIA (KATOWANIA)

Czy osoba, która w trakcie pobytu w Jungle przez rok była katowana, gazowana i bita przez francuskie służby mundurowe chętnie złoży papiery o azyl we Francji? Pobyt w Jungle nie był dla nikogo łatwy. Ciągłe naloty policji, zamaskowane służby po cywilnemu, łamanie kości, używanie armatek z gazem, podpalenia, kradzieże, współpraca policji z faszystami.

Niemniej jednak jakie znaczenie ma, dokąd uciekają.

Jak wielu Syryjczyków mieszka w Twoim mieście, w Twojej wiosce?

Jak wielu Sudańczyków?

Jak wielu Erytrejczyków?

Mamy wiele przestrzeni...

Mimo to ludzie koczują i giną przy zamkniętych granicach Europejskiej Fortecy.



CALAIS: CODZIENNOŚĆ

„To życie tam, w Jungle, łączy w sobie dwa przeciwieństwa, jest bardzo brutalne i ryzykowne, a jednocześnie niewyobraźalnie przyjazne i ciepłe. Wszystko, co się tam dzieje, jest bardzo mocne, intensywne. Można opowiedzieć najczarniejsze historie, które odbywały się tam w czasie i w miejscach, których istnienia mało kto podejrzewa – mafie, policja, przemoc. Jednocześnie nie da się przechwalić większości osób, które tam żyją, siły wewnętrznej, daru nawiązywania przyjaźni i tworzenia mocnych więzi społecznych. Ciężko jest zebrać myśli i słowa, aby opowiedzieć o codzienności w Calais. Mieszkając w Jungle nie trzeba było podróżować, aby poznać pół świata, żeby zobaczyć w życiu wszystko, co najgorsze i wszystko, co najlepsze – nic pomiędzy. Doświadczyć nieba i piekła skumulowanych na tak niewielkim obszarze” – aktywistka z Polski, od ponad roku mieszkająca w Calais.

W roku 2003 władze Francji i Wielkiej Brytanii podpisały porozumienie, mające na celu skuteczniejszy „przesiew” imigrantów jeszcze przed przybyciem do wybrzeży Wielkiej Brytanii. Tym samym rozpoczęto wdrażanie nowego planu taktycznego względem imigrantów w Calais. Taktyka ta miała na celu zastraszenie imigrantów, utrudnianie ich codziennego

życia i pozbawienie ich wszelkich nadziei na przedostanie się do UK. Jednym z najpowszechniejszych działań, było pozbawianie ludzi schronienia. Sukcesywnie niszczone nowe przestrzenie, które były tworzone przez imigrantów. Władze starały się rozbijać wszelkie więzi społeczne, jakie powstawały między mieszkańcami Jungle. Napadano i niszczone centra życia społecznego i zarobkowego. Policja (za przyzwoleniem władz) regularnie najeżdżała na Obóz i zabierała wszystkie produkty ze sklepów i z restauracji, okradając uchodźców. W międzyczasie pojawiło się realne zagrożenie ze strony ruchów faszystowskich. W 2013 roku założono grupę Sauvons Calais (Ocalić Calais), która odpowiedzialna była między innymi za ataki (marzec, 2014 r.) na skłoty zamieszkałe przez imigrantów – w tym dzieci – zakończone podpaleniem budynków. Obecnie najsilniejszą grupą jest Les Calaisiens en Colère. Liczne sklepy, bary i kawiarnie w Calais wydały oficjalny zakaz wstępu dla migrantów. Oczywiście takie akty agresji nie mogły pozostać bez odpowiedzi. W 2009 roku powstał kolektyw Calais Migrant Solidarity (CMS) będący opieką efektem Calais No Border Camp. Działania kolektywu są bardzo szerokie. Sprowadzają się do współpracy na wielu płaszczyznach – akcji informacyjnych, mobilizacji, blokowania eksmisji, pomocy prawnej, ale przede wszystkim do życia razem, budowania więzi, dzielenia realiów mieszkania w swego rodzaju getcie. Kolektyw kładzie nacisk na fakt, że istnienie Dżungli ma charakter polityczny, a nie tylko humanitarny. To właśnie dzięki sprawnie prowadzonemu przez Kolektyw blogowi informacyjnemu możemy na bieżąco śledzić sytuację w Calais.

WYSIEDLENIE

Cały proces wysiedlenia podzielony był na kilka etapów. Pierwsze kroki podjęto już w styczniu 2016 roku – był to pierwszy etap. Drugi etap miał miejsce w marcu. Wysiedlenie trwała miesiąc i zniszczono 1/2 Obozu, 10 tys. ludzi stłoczyło się na połowie dostępnej przestrzeni. Przy kolejnych akcjach wysiedleńczych zaczęły się strajki głodowe. Dwunastu Irańczyków rozpoczęło strajk głodowy – z czego dziewięciu zasyło sobie usta (video z akcji jest dostępne w internecie). Oficjalnie zapowiedziane niszczenie Jungle rozpoczęło się 25. października. Wiele osób pozostało w okolicy Obozu, co w większości kończyło się masowymi aresztowaniami. Wysiedlenie Obozu było bardzo radykalne. W trakcie demolowania obozu władze Francji objęły teren stanem wyjątkowym, tworząc w ten sposób sferę ochronną dookoła Jungle. Wiązało się to między innymi z tym, że odmówiono prawnikom i przedstawicielom organizacji praw człowieka wstępu w okolice obozu. Wszystko, co się tam wydarzyło, nie podlegało żadnej obiektywnej ocenie. Wprowadzenie strefy wyjątkowej dookoła obozu zostało ustalone na podstawie prawa, które we Francji stosowane jest w przypadku zagrożenia atakiem terrorystycznym.

KONIEC WYSIEDLEŃ, CZAS PRZEŚLADWAŃ

Po zakończeniu wysiedleń władze Francji ogłosiły sukces. Wobec tych, którzy pozostali w Calais, rząd wcielił drugą fazę planu – masowe aresztowania.

Jungle było miejscem, które nigdy nie powinno istnieć, ale skoro już powstało, nie sposób jest nie docenić ogromu samoorganizacji i oddolnej inicjatywy, jaką wykazali migranci. Stworzyli od podstaw (bez pomocy i wielkich funduszy) miejsce, w którym każdy mógł poczuć się przez chwilę jak u siebie – małe miasto, w pełni wyposażone, działające na zasadach oddolnych. Ludzie zamieszkujący Obóz różnili się od siebie totalnie – pochodzili z innych środowisk, kręgów kulturowych. Byli tam

migranci ekonomiczni, jednak ogromną częścią były osoby, które pozostawiły za sobą własne domy i dobrą pracę. Nieważne, że z zawodu są inżynierami, artystami, nauczycielami czy studentami, w Europie są uchodźcom, migrantem – tylko to ich definiuje. Często spotykamy się z zarzutem, że większość imigrantów do zdrowi i młodzi mężczyźni, jednak w tej „podróży” nie ma dobrej przestrzeni dla rodziny – karawana, pobicia, tortury, gaz. Mężczyźni liczą, że to przetrwają, żeby później bezpiecznym kanałem ściągnąć resztę rodziny. To są osoby, które w większości mają plan działania, są zdesperowani, przerażeni, ale nie są „dzicy”.

Ostatecznie niszcząc Jungle, zabrano tym ludziom namiastkę normalności. Zrównano

z ziemią ogrom ludzkiej pracy, nadzieję, cierpliwość. Mimo wszystko to nie koniec – Jungle cały czas istnieje, może nie w strukturach i barakach, ale w ludziach. Minęło ponad pół roku od ostatecznego wysiedlenia Obozu, a sytuacja w Calais jest cały czas napięta. Do Francji zjeżdżają kolejni aktywiści, a zapotrzebowanie na rękę do pomocy jest ciągle ogromne. Uzbrojeni faszyci „polują” na imigrantów, którzy pozostali w okolicach Obozu i śpią w lasach czy na skłotach. Policja rozbija samoorganizujące się punkty, w których rozdawane jest jedzenie dla mieszkańców byłego Obozu.

Kto zyskał na wysiedleniu? Nie ci, zagrożeni widmem deportacji, nie ci, którzy chcieli dostać się do Wielkiej Brytanii, nie ci Francuzi,

k którzy stłamszeni przez maszynę kapitalizmu i propagandy uwierzyli w masę realnych zagrożeń wynikających ze swobodnej migracji. Jak zwykle zyskali na tym politycy starający się o poparcie w nadchodzących wyborach, wielkie korporacje zarabiające miliony na uruchomionym procesie deportacji i militaryzacji granic.

Granica zabija – często są to „wypadki” w pociągach, na drogach, pod samochodami. Musimy mieć jednak świadomość, że każdy „wypadek” to zbrodnia wywołana przez konkretną sytuację – ucieczkę, bójki, samobójstwa, przez policję, przez mafię. Granice są okrutną fikcją, która służy bogatym; chroniącym swoje dobra – tak skrupulatnie gromadzone w cha-

sach kolonializmu i kapitalizmu. Granice służą skłócaniu ludzi. Nastawiają NAS przeciwko NIM. Tworzą mieszkańcom Europy złudne poczucie bezpieczeństwa.

Należy zadać sobie pytanie, czy świat bez granic jest możliwy? Hasło „NO BORDERS” to nie tylko slogan czy utopia, to codzienna praktyka. Każdego dnia ludzie przekraczają i osłabiają granice, tworząc pęknięcia w ICH systemie kontroli, otwierają przestrzeń i nowe ścieżki dla wolności przemieszczania się.

Jeśli chcesz dowiedzieć się więcej, odwiedź blog i skontaktuj się z kolektywem Calais Migrant Solidarity – z ludźmi, którzy chcą obalić granice.

NB

CZY TAK NAPRAWDĘ POMAGAMY UCHODźCOM



Ustawiamy ludzi w kolejkach i chcemy, żeby spokojnie czekali, a po przekazaniu im pomocy liczymy, że będą zadowoleni i wdzięczni. Zamiast takiej dobroczynności, lepiej wspierać uchodźczyń i uchodźców w ich walce o prawo do decydowania o sobie samych.

DOBRE INTENCJE

Thum kłęb się na peronie dworca Keleti. Ludzie próbują wsiąść do pociągu, który zaraz odjeżdża do Wiednia. Nikt nie chce zostać na Węgrzech. – Jeśli mam zaczynać życie od nowa, to jasne, że wolę w zamożniejszym państwie – mówi Amina, która pochodzi z Syrii. Wokół tłumy krążą wolontariusze w odblaskowych kamizelkach. Rozdają małe pakunki. – Co to? – pyta Amina. – Pyszne kanapki – wyjaśnia z uśmiechem wolontariuszka. – Dziękuję, ale mam swoje jedzenie – odpowiada uchodźczyni.

Wiele osób bierze zawiniątko, nie wiedząc, co w nich jest. – Chcemy iść dalej! – krzyczy po angielsku ktoś z tłumy. Wolontariusze kontynuują pracę. W tłoku i ogromnym zamieszaniu ludzie gubią swoje rzeczy. Niektórzy, by móc zmieścić się do pociągu, wyrzucają część bagażu. W koszu lądują też kanapki. Wieczorem węgierskie, a potem także polskie media, obiegają zdjęcia, jak „niewdzięczni migranci gardzą pomocą”.

Latem 2015 roku, uchodźcy i uchodźczynie wyważyli drzwi do sytej Europy. Ludzie z Syrii, Afganistanu, Iraku, ale także Pakistanu, Iranu, Maroka i wielu afrykańskich państw doprowadzili do otwarcia granic i zawieszenia reżimu opartego na konwencji dublińskiej. Europa nie mogła dłużej udawać, że nie widzi problemu wojen, za których prowadzenie też jest odpowiedzialna.

Dramatyczne historie uciekinierów opowiadano w wielu reportażach. Równie wiele relacji dotyczyło wolontariuszy niosących im pomoc. Od samego początku aktywiści i aktywistki, od anarchistek po chrześcijan, ruszają na greckie wyspy, do obozów oraz na bałkańskie granice. Przywozimy głównie dobre chęci, ale także pomoc materialną, która – naszym zdaniem – jest po-

trzebna przybywającym. Nie zawsze rozumiemy, że najbardziej ludzie chcą mieć zwykłe prawo do decydowania o własnym losie.

„TO NIE MY POWINIŚMY TO ROBIĆ”

Presevo, albańskie miasteczko na granicy Serbii i Macedonii, to tędy wiedzie „bałkański szlak”. We wrześniu 2015 roku władze w Belgradzie wprowadziły obowiązek rejestracji uchodźców. W tym okresie każdego dnia do Preseva przybywa od kilkuset do kilku tysięcy osób. Do ich obsługi jest zaledwie 7 komputerów. Szybko powstaje gigantyczna kolejka. Bez jedzenia, wody i toalet ludzie muszą czekać nawet po kilka dni.

Na miejscu dołączam do grupy tzw. „niezależnych wolontariuszy” – to mniej lub bardziej przypadkowe osoby z różnych państw, które chcą pomóc. Nasza praca to rozdawanie jedzenia, wody oraz peleryn. Panuje wielkie napięcie, uchodźcy są wściekli i zmęczeni. Naszymi działaniami pomagamy im przetrwać oczekiwanie, ale i zachęcamy do zachowania spokoju i słuchania poleceń wydawanych przez policjantów.

Nasilające się opady deszczu sprawiają, że czekający brodzą w wodzie sięgającej kolan. W połączeniu z niską temperaturą, spadającą w nocy w okolice zera, sytuacja robi się niebezpieczna. Po jednej z ulew u kilkorga dzieci pojawiają się dreszcze, majaczenia, a nawet utraty świadomości. Na miejscu jest zaledwie kilku lekarzy. Wolontariusze, bez namysłu biorą chore dzieci na ręce i biegną z nimi w poszukiwaniu pomocy.

– Czy wy oszaleliście? – krzyczy jedna z lekarek. – To jest hipotermia, przez takie noszenie wychładzają się jeszcze bardziej.

Po tej sytuacji ktoś powiedział: „To nie my powinniśmy to robić”.

TO NIE JEST W PORZĄDKU

Wiosna 2016 – po zamknięciu „bałkańskiego szlaku”. Namiotowe obozowisko na grecko-macedońskiej granicy w Idomeni tonie w błocie. Deszcz pada bez przerwy dwie doby. Todor, koordynator organizacji InterVolve, zdecydował, że tego dnia pojedziemy rozdawać papier toaletowy. Miały być płaszczki przeciwdeszczowe i kalosze, ale koordynator nie sprawdził, że w magazynie zostało ich tylko kilka. Jest papier, jedziemy.

Gdy tylko zjawiamy się w Idomeni, przed kontenerowym biurem InterVolve ustawia się kolejka. Ludzie stoją po kostki w błocie. Na oko jest ich około setki. – Line, line – krzyczy do nich, a może raczej na nich Todor. – Przecież czekamy – odpowiada Ramzi, chłopak który w syryjskim mieście Homs studiował matematykę. – Jedna osoba dostaje maksymalnie dwie rolki papieru – zarządza Todor. Tylko kilka osób załapuje się na ubrania przeciwdeszczowe, reszta dostaje wilgotny papier toaletowy.

Pewien mężczyzna nie wytrzyma. Z rąk jednego z wolontariuszy wyrwa całe opakowanie papieru toaletowego. – Przestań, to wbrew zasadom – krzyczy Todor. Mężczyzna ucieka. Do wolontariuszy podchodzi Ramzi, oddaje papier toaletowy, który przed momentem otrzymał. – To nie jest w porządku – mówi. Dystrybucja trwa nadal.

Ustawiamy ludzi w kolejkach i oczekujemy, że będą spokojni i zadowoleni z tego, co dostają. Wręczając ludziom kolejne pary używanych butów, bo akurat mamy dużo, nie przyczynimy się do zmiany ich sytuacji (no chyba że są to buty trekkingowe, przydatne do przekroczenia zielonej granicy). Pomagając możemy co najwyżej sprawić, że ludzie będą mniej głodni, lepiej ubrani, ale dobrze czujemy się przede wszystkim my sami.

POMAGANIE NA ETAT

– Nie jesteśmy organizacją polityczną, reagujemy jedynie na kry-

zys humanitarny – mówi stanowczo Charli, koordynatorka norweskiej organizacji Northern Light. Jakakolwiek deklaracja polityczna mogłaby zniechęcić darczyńców, a to dzięki ich pieniądзом organizacja może funkcjonować. Grupę stworzyło kilku wolontariuszy, którzy spotkali się na greckich wyspach, do których uchodźcy przybywali z Turcji.

Northern Light to jedna z wielu organizacji wyrosłych z oddolnych inicjatyw. Spontaniczne działania przekształciły się w regularne kampanie crowdfundingowe. Wy-myślono nazwy i zaprojektowano logotypy, które później trafiły na wynajmowane przez organizację samochody oraz odblaskowe kamizelki wolontariuszy. Działania są fotografowane albo nagrywane, a zdjęcia trafiają do mediów społecznościowych. Kto ma lepsze, bardziej wruszające materiały, ten zbierze więcej pieniędzy.

Organizacje zwykle nie rozliczają się z wydawanych środków. Darczyńcom, jako potwierdzenie, muszą wystarczyć zdjęcia, które grupy publikują na swoich stronach. Zdarzało się, że wolontariusze – również ci z Polski – z zebranych pieniędzy finansowali swoje podróże. Nie ma możliwości zweryfikowania, ile pieniędzy faktycznie trafia do uchodźców, a ile na utrzymanie samych organizacji i pensje dla etatowo pracujących koordynatorów.

Dobłą praktyką, stosowaną przez kilka nieformalnych grup (m.in. punkowo-anarchistyczną Amsterdam Delivery Mission), jest wysyłanie do darczyńców skanów rachunków, by pokazać na co poszły ich pieniądze.

Profesjonalizacja działań nie oznacza poprawy ich jakości. Dlatego przekazując wsparcie warto zainteresować się i poprosić o potwierdzenie na co zostały wydane nasze środki.

PODMIOTOWOŚĆ

Uchodźcy, którzy utknęli w obozach i koczowiskach, miesiącami, a nawet latami skazywani są na łaskę organizacji humanitarnych. Mono-

tonię ich dni wypełniają ponizające rytuały – ustawianie się w kolejkach po: jedzenie, leki, ubrania czy jakąkolwiek pomoc. Jako wolontariusze decydujemy, kto dostanie ją w pierwszej kolejności (ma rodzinę, małe dzieci, jest w ciąży itd.), a kogo zepchniemy na koniec „listy” (najczęściej samotnych mężczyzn). Dostajemy w ręce władzę i bardzo łatwo wchodzimy w wyznaczoną rolę.

Jakościowo innym sposobem wspierania uchodźców jest nawiązywanie z nimi jak najbardziej bezpośrednich kontaktów. Konieczne jest wyjście z roli darczyńcy, wspinałomyślnie przywożącego pomoc i spojrzenie na przybywających z perspektywy ich praw. Zamiast gotować dla uchodźców, można zjeść wspólny posiłek, zrobić coś nie dla nich, a wspólnie z nimi. Przykładami takich działań są działające w Grecji skłoty, z ateńskim City Plaza na czele. Tam blisko 200 uchodźców i uchodźczyń, przy wsparciu aktywistów i aktywistek, wspólnie mieszka, prowadzi kuchnię, zajęcia dla dzieci i próbuje normalnie żyć.

Omijanie instytucji pomocowych sprawia, że mniej pieniędzy rozejdzie się gdzieś po drodze, a dobroczynność zostanie zastąpiona przez solidarność i równe traktowanie. Oczywiście nie każdy może jechać do Grecji, Libanu czy nawet na Węgry. Jednak wiele działań można podejmować tu na miejscu, w Polsce, np. walcząc o prawa pracownicze obcokrajowców.

Krytykowanie działań pomocowych, szczególnie w Polsce, można uznać za strzał w stopę. Wspieranie uchodźców szczególnie teraz, gdy granice są uszczelniane i powstają kolejne obozy-więzienia, jest bardzo potrzebne. Błędem byłoby jednak pozostawianie na poziomie „nakarmienia głodnych”. Trzeba bowiem głośno pytać o to dlaczego ci ludzie muszą uciekać ze swoich domów. Uchodźcy i uchodźczynie, ruszając w niebezpieczną podróż, zdecydowali się rozpocząć walkę o odzyskanie swojego życia. To przede wszystkim na tej drodze warto się nawzajem wspierać.

Piotr Malinowski

GORĄCA WIOSNA 2017 NA BIAŁORUSI

Pod koniec lutego na Białorusi rozpoczęły się największe od 2011 r. protesty. Ich główną przyczyną była tzw. „ustawa o pasożytach”. Osoby, które nie były zatrudnione legalnie przez ponad pół roku, muszą zapłacić podatek w wysokości około 750 zł. Społeczeństwo, nie godząc się na tę absurdalną zmianę, wyszło na ulice. Wydarzenia te nazwano „gorącą wiosną 2017”.

■ SPOŁECZNO-POLITYCZNE TŁO PROTESTÓW

Ustawa dotycząca opodatkowania „darmozjadów” (oficjalnie: Dekret nr 3 – „O zapobieganiu społecznemu pasożytnictwu”) została podpisana przez Aleksandra Łukaszenkę 2 kwietnia 2015 r. Wezwania do zapłaty podatku, ironicznie nazywane „listami szczęścia”, otrzymało około pół miliona obywateli. Wszyscy „uszcześliwieni” do 20 lutego 2017 r. mieli zapłacić daninę lub osobiście wyjaśnić sytuację w skarbowce. Za niewywiązanie się z obowiązku naliczano dodatkowy mandat lub skazywano na areszt (do 15 dni) z obowiązkiem odbycia prac społecznych. Podatek zapłaciło ponad 34 tys. osób. Część „nierobów” – tracąc swój czas i nerwy – wywalczyła zwolnienie z opłaty.

Na borykającej się z kryzysem gospodarczym Białorusi (przy wzroście cen oraz bezrobocia) stale zmniejsza się siła nabywcza mieszkańców. Ich dochody, wedle oficjalnej statystyki, w 2016 r. spadły o 7% – najwięcej od 20 lat. Liczba zwolnionych przewyższała ilość zatrudnionych o 108 tys. Białorusini od lat słuchają obietnic prezydenta o podniesieniu śred-

niej miesięcznej pensji do poziomu 2000 zł. Obecnie nie przekracza ona 1300 zł.

■ MARSZE NIEDARMOZJADÓW

17 lutego w Mińsku na placu Październikowym (tradycyjne miejsce akcji przeciwko fałszowaniu wyborów) pod nazwą „Marsz oburzonych Białorusinów” odbył się pierwszy protest przeciwko Dekretowi nr 3. Wzięło w nim udział ponad 2 tys. osób. Po przemarszu do Ministerstwa Podatków i Opłat uczestnicy palili „listy szczęścia”. Swoją obecność zaznaczyli anarchiści, którzy przyszedli z banerem „Głównym darmozjadem jest prezydent” oraz wygłosili przemówienie mimo prób zatrzymania ich przez tajniaków. W Homlu, drugim co do wielkości mieście na Białorusi, 19 lutego w akcji wzięło udział ok. 3 tys. ludzi. Była to pierwsza tak duża demonstracja w mieście od ćwierć wieku. W Mohylewie demonstrowało 1,5 tys. osób.

Po tych wydarzeniach spontaniczne wystąpienia – liczące od kilkudziesięciu do kilkuset osób – odbyły się w innych miastach (Bobrujsk, Baranowicze, Rohaczew, Orsza, Pińsk, Słonim), gdzie problemy z bezrobo-

ciem są największe. W Mołodecznie, liczącym mniej niż 100 tys. mieszkańców, 10 marca odbyła się największa w jego historii demonstracja – około 1000 osób. Akcje przybrały nazwę „Marszów Niedarmozjadów”. Wśród najbardziej popularnych haseł pojawiły się klasyczne „Basta!” oraz anarchistyczne „Darmozjad dla ludu – biurokrata, urzędnik, glina”. Protestujący żądali cofnięcia ustawy oraz ustąpienia Łukaszenki z urzędu prezydenta. Na ulice wyszli nie tylko aktywiści, ale przede wszystkim ludzie dalecy od polityki, co więcej – potencjalny elektorat prezydenta. Obecne były osoby w różnym wieku oraz o różnym statusie społecznym. Nie bez znaczenia pozostaje fakt, iż wśród protestujących było mnóstwo osób pracujących.

■ AKCJA W BRZEŚCIU

Jedną z najbardziej spektakularnych akcji odbyła się 5 marca w Brześciu. Kilka dni wcześniej w psychiatryku zamknięto aktywistkę Natalię Pawkową („Młoda Białoruś”). W drodze ze stolicy do miasta zatrzymano kilku liderów opozycji. Nie przeszkodziło to jednak mieszkańcom i podczas protestów uwidoczniła się nowa,

potencjalnie niebezpieczna dla państwa grupa – blogerzy „Wesprzeć Brześć”. Przyjechał m.in. bloger z Homla, Maksim Filipowicz, który za swoją postawę obywatelską w czasie trwania protestów spędził w areszcie łącznie ponad miesiąc.

Szef administracji miejskiej, od którego de facto nic nie zależy, zaprosił protestujących na rozmowę do budynku. Mała grupa się zgodziła, większość natomiast pozostała na ulicy. Akcję uratowali anarchiści, którzy wygłosili przemówienie oraz uformowali demonstrację, która ruszyła przez centrum miasta. Wówczas lider Zjednoczonej Partii Obywatelskiej obwodu brzeskiego nazwał anarchistów prowokatorami.

Na czele marszu szli zamaskowani anarchiści, niosąc baner: „Urzędnik – główny darmozjad”. Skandując hasła, poprowadzili za sobą ludzi. Demonstracja rozrosła się do 1000 osób i na kilka minut zablokowano największą drogę w mieście – Prospekt Maszerowa. Po akcji funkcjonariusze rozpoczęli łapaną wymierzoną w anarchistów. Dzięki blogerom i innym osobom anarchistom udało się rozproszyć w mieście.

■ AKCJE W MIŃSKU

15 marca odbyła się 3-tysięczna demonstracja w Mińsku, w której aktywnie uczestniczyli anarchiści. Wówczas anarchistyczna Akcja Rewolucyjna opublikowała w sieci film

nawołujący do masowych wystąpień (18 marca) w całym kraju. Apel został prawie całkowicie zignorowany: z braku sił, przygotowani do Dnia Woli (25 marca, dzień niepodległości), a po części z braku zaufania do zamaskowanych anarchistów.

W nocy 24 marca odbyła się najbardziej symboliczna akcja wiosennych protestów. Nieznana grupa anarchistów rzuciła koktajlem Mołotowa w budynek służby podatkowej homelskiego rejonu.

Jak co roku, 25 marca, w Mińsku powinna odbyć się ogólnokrajowa akcja, do której jednak nie doszło. Większość aktywistów pozostawała w aresztach. Władze pozwoliły na sankcjonowane demonstracje w Grodnie (pierwszy raz od 20 lat), Brześciu, Homlu i Witebsku. Z kolei w stolicy ludzie próbowali zebrać się w okolicy placu Październikowego. Pobliskie stacje metra były zamknięte, a komunikacja miejska pracowała bez przystanków w centrum miasta. Protestujących zamknięto w „kotle” na Prospekcie Niezależności. Zatrzymywano i bito również zwykłych przechodniów – ogółem ponad 700 osób. Po tych wydarzeniach odbyło się kilka małych akcji w innych miastach.

1 maja pogrzebano ostatnie nadzieje na masową kontynuację protestów. Białoruski Kongres Niezależnych Związków Zawodowych zrezygnował z pikiety w oddalonym od centrum Mińska placu Bangalore,

NIGDY NIE WIADOMO, KIEDY BĘDZIE ODPOWIEDNI MOMENT NA DUŻE POWSTANIE JEDNAKŻE BEZ DOŚWIADCZENIA NA PEWNO BYŚMY JE PRZEGAPILI

Trudno analizować zjawisko, które nieustannie się zmienia. Ruch anarchistyczny jako żywa tkanka, dynamiczny twór, odkształca się pod wpływem historii dziejącej się na naszych oczach. Czasami, jako aktywiści, jesteśmy jej częścią, czasami decydujemy o pozostaniu w cieniu wydarzeń. Niewątpliwie na obecną kondycję ruchu anarchistycznego na Ukrainie duży wpływ miały zajścia na Majdanie. O to, jak zmienił się on pod wpływem walk w centrum Kijowa, zapytaliśmy anarchistę ze Wschodu.

Czy mógłbyś krótko opisać ruch anarchistyczny na Ukrainie? Wymienić i pokrótce opisać kolektywy, które tam działają?

Zanim nastąpiły wydarzenia na Majdanie, najsilniejszą grupą była Rewolucyjna Konfederacja Anarchistów Syndykalistów (RKAS), którzy mieli swój lokal w Donbasie. Odnosili się do klasycznych założeń syndykalistycznych, do grupy należeli głównie pracownicy. Zazwyczaj agitowali pracowników fabryk i górników do akcji bezpośrednich – głównej metody w walce o polepszenie warunków pracy. Syndykaliści byli znani w regionie, niektórzy robotnicy mieli sympatię dla anarchistycznych idei. W przeciwieństwie do krajów zachodnich, na Ukrainie (szczególnie w Donbasie) jest bardzo oczywiste, że „demokracja” jest tylko kamuflażem oligarchicznego kapitalizmu. RKAS organizował także szkolenia militarne dla anarchistów na organizowanych przez siebie obozach. W Kijowie i Charkowie działał Anarchistyczny Związek Pracowniczy, imający się głównie organizowaniem pikiet, skłótniami i działalnością kulturalną.

Jakie w takim razie przemiany zaszły w strukturach ruchu już po wydarzeniach na Majdanie?

Grupa donbaska (RKAS) przyjechała na Majdan na kilka

dni i wrócili do domów. Ogłosili, że Majdan to walka grup oligarchicznych i nie dotyczy anarchistów. Gdy zaczęły się zamieszki w Donbasie, jeszcze przed obecnością wojsk rosyjskich na tych terenach, RKAS włączył się w falę antyrządowych protestów, ale nie wytrzymał konkurencji z separatystami. Ruch w Kijowie wspierał walki na Majdanie, ale gdy rozpoczął się konflikt z Rosją, część włączyła się w walkę z nią, a część nie opowiadała się po żadnej ze stron. Podczas wydarzeń na Majdanie wzmocniła się grupa etno-anarchistów, łącząca w swojej filozofii elementy anarchizmu z ideą narodowyzwolenczą (jak Irlandczycy i Kurdowie).

Czy możesz powiedzieć coś więcej o grupie etno-anarchistów?

Członkowie tej grupy wywodzą się ze środowisk nacjonalistycznych, w niektórych wypadkach marksistowskich. W grupie zawsze występował akcent nacjonalistyczny, ale oficjalnie temu zaprzeczają. Ciężko scharakteryzować tę grupę, ponieważ nie jest ona jednolita. Część członków określa się jako lewicowi nacjonalisci, a część jako anarchiści. Postanowiono połączyć idee nacjonalizmu i anarchizmu pod symbolem Banderi i Machno. Teraz zajmują się sprzedażą koszulek i organizują pikiety, głównie we Lwowie.

Te dwie idee wykluczają się wzajemnie. Przykładów jest mnóstwo. Jak więc etno-anarchiści podchodzą do zagadnienia imigracji, gdzie ludzie przybywają z innych krajów, osiedlając się w danym miejscu, często wplatają elementy swojej kultury w nurt już zastanej, albo jakie zdanie mają na temat religii – która z kulturą przenika się w wielu aspektach.

Etno-anarchiści, w przeciwieństwie do nacjonalistów, nie są przeciwni imigrantom. Chcą ustanowić ukraińską kulturę, jako główną. Trudno to sobie wyobrazić w kraju, gdzie większość mówi po rosyjsku. Ponadto, Ukraina jest krajem wielokulturowym, ludzie pragną żyć w pokoju ze sobą. Podstawą kryzysów jest to, że ludzie nie ufają władzy, a politycy i nacjonalisci starają się ugrać na tej sytuacji coś dla siebie - zarówno w Kijowie, jak i w Donbasie.

W jaki sposób anarchistyczny ruch ukraiński mógłby się ustosunkować do etno-anarchistów? Czy jest to waszym zdaniem negatywne zjawisko? Czy może raczej uważacie je za całkiem naturalne?

Etno-anarchiści pojawili się we wszystkich krajach o tradycjach narodowo-wyzwoleńczych, ale cały czas byli zjawiskami doczesnymi. Grupy te żyją w procesie stałego podziału na bardziej nacjonalistyczne i bardziej anarchistyczne. Na Ukrainie wspierają rząd w walce z Rosją, przyłączając się do państwowych struktur jak armia. Oczywiście rząd wykorzysta ich „pomoc”, ale koniec końców osiągnie swój cel dzięki przelanej krwi społeczeństwa. Wtedy nie będzie narodowych struktur militarnych, które je obronią przed opresyjnymi ambicjami państwa. Ich ideologia oparta jest na sprzeczności między masową tożsamością a osobowością. Anarchizm oznacza całkowite wyzwolenie osobowości, nie ma różnicy między prze-

gdyż władze zakazały związkowcom tam maszerować. Natomiast Mikołaj Statkiewicz, lider Białoruskiego Kongresu Narodowego, nawoływał do akcji na placu Październikowym. Zebrało się na nim kilkaset osób i uchwaliło którąś z rzędu nikomu niepotrzebną rezolucję.

Anarchiści zignorowali obydwie inicjatywy, zaznaczając „dzień pamięci i solidarności pracowniczej” szeregiem akcji w różnych miastach Białorusi (ulotki, graffiti) oraz wywieszając w stolicy 20-metrowy banner nawołujący do strajków.

■ ACAB

Jednocześnie z protestami „niedarmozjadów” aktywiści bronili uroczyska Kurapaty, niedaleko którego rozpoczęto budowę centrum biznesowego (według różnych danych NKWD rozstrzelano tam nawet kilkaset tysięcy osób). 17 kwietnia przez udział w obronie uroczyska odwieszono wyrok skazujący dla anarchysty Dmitrija Polijenko – za udział w „masie krytycznej” w październiku 2016 r. Dmitrij otrzymał dwa lata pozbawienia wolności w zawieszeniu.

Największą niechęć i pogardę wśród Białorusinów (poza urzędnikami) wzbudza milicja, którą nazywają „szuniawki” – od imienia ministra spraw wewnętrznych, Igora Szuniewicza. Na murach stolicy pojawiają się graffiti z wizerunkiem ministra oraz napisem, że to on odpowiada za tłumienie protestów. Sam Szuniewicz nie ukrywa, iż co roku 9 maja ubiera się w mundur NKWD, co nie przeszkodziło mu w marcu tego roku odsłonić w Mińsku pomni-

ka miejskiego policjanta carskiej Rosji. Za narzucenie pętli na szyję temu pomnikowi etnoanarchista Wiaczesław Kasinierau dostał mandat w wysokości ok. 240 zł.

Anarchiści zainicjowali ciekawą stronę internetową – bandaluki.info. Zbierają tam informacje (zdjęcia, adresy, informacje dotyczące rodziny) o wszystkich pracujących na reżim: milicjantach, sędziach, urzędnikach, propagandystach.

Anarchistom udało się zaimponować części białoruskiego społeczeństwa. Na akcjach ludzie im dziękowali, zaślaniali ich i wyrwali z rąk milicji. Jest ona jedną z najbardziej uprzywilejowanych grup społecznych, co odzwierciedla się w hasle anarchistów: „Budżet wydany na gliny – na pensje pieniędzy brak”.

■ REAKCJA WŁADZY I REPRESJE

Najczęściej przed i po akcjach w całym kraju odbywają się przeszukania i areszty, stałe dyżury funkcjonariuszy przed mieszkaniami aktywistów, blokowanie dojazdów do mniejszych miejscowości, uzbrojone w automaty patrole OMON-u, opancerzone policyjne polewaczki, suki oraz specjalnie przystosowane do burzenia barykad nowiutkie auta typu „Mur-Bariera”.

Dwukrotnie „znikał” lider opozycji M. Statkiewicz. Twierdzi, że podczas protestów 25 marca i 1 maja znajdował się w areszcie KGB. Ponadto na portalach społecznościowych z kont jego i jego żony rozpowszechniano informacje o odwołaniu akcji 25 marca.

Brutalne rozprawienie akcji 25 mar-

ca w Mińsku, kiedy bito kobiety i ludzi w podeszłym wieku, należy do normy. Nowością natomiast była akcja w trolejbusie nr 37, który już okrzyknięto symbolicznym odwołaniem do stalinowskich czystek z roku 1937. Trolejbus, którym po akcji 15 marca jechali anarchiści, został zablokowany przez nieoznakowane busy. Milicjanci, wybijając drzwi, rozpylili gaz łzawiący. Pasażerów zaczęto bić i pakować do busów, gdzie wprost deptano po ludziach. Małą otuchą jest fakt, że na jednym ze skrzyżowań znany w Krakowie anarchista otworzył drzwi jednego z pojazdów, dając szansę ucieczki kilku zatrzymanym. Sam jednak nie zdążył opuścić busa.

W największych państwowych mediach pojawił się szereg oczerniających anarchistów kłamliwych materiałów propagandowych – oskarżano ich m.in. o przechowywanie broni, pobicie milicjantów i terroryzm. Strony internetowe organizacji anarchistycznych kilkakrotnie blokowano, niektóre z nich znajdują się na liście zakazanych materiałów ekstremistycznych.

Zakaz wjazdu na Białoruś otrzymało kilkoro rosyjskich aktywistów i Polka. Paweł po 15 dniach aresztu i głodówce został porzucony na granicy bez pieniędzy i rzeczy, skąd 2 dni autostopem dostawał się do domu w Rosji. Z kolei Dorota wracała do Polski w obecności konsula RP. Dorota jadąc autem wraz z koleżanką, została zatrzymana w centrum Mińska.

Pod pretekstem walki z terroryzmem aresztowano też uczestników istniejącej w latach 90. nacjonalistycznej organizacji „Biały Legion”

(zatrzymano 32 osoby, a 16 dotychczas znajduje się w izolatorze śledczym KGB).

Zatrzymywano również osoby, które spotykały się z uwięzionymi po odbyciu kary lub przynosiły im jedzenie. Kilku brzeskich anarchistów po odbyciu wyroków natychmiast aresztowano ponownie. Zatrzymanych zastraszano zgwałceniem, odebraniem dzieci, zabiciem. Niektórych wypuszczano wcześniej, żeby nie było przy nich bliskich i dziennikarzy lub potajemnie wywożono na drugi koniec miasta. Szereg podłości spotkał zatrzymanych również za kratami: problemy z wyżywieniem i lekami, przymusowe pobieranie próbek śliny. Nawet odbywającym głodówkę kazano zapłacić za wyżywienie (ok. 20 zł za dobę). Często odmawiano przekazywania jedzenia. Zrywano akcje zbiórki rzeczy i pieniędzy dla zatrzymanych, jak to miało miejsce mińskim biurze Białoruskiej Partii Zielonych. Wówczas milicjanci zatrzymali 13 osób, 10 sądzono z paragrafu „drobne huliganstwo”. Według informacji Centrum Obrony Praw Człowieka „Wiosna” w trakcie protestów zatrzymano około 1000 osób, ponad 100 trafiło do aresztów, a dziesiątki osób dostały mandaty.

■ CZY BIAŁORUSINÓW CZEKAJĄ OBOZY PRACY?

Sezon działek i urlopów przy jednoczesnym braku strajków robotniczych, braku nieposłuszeństwa obywatelskiego, braku pozytywnych symboli, wokół których mogliby się zjednoczyć mieszkańcy wschodniego sąsiada Polski, zahamował falę

protestów. Do tego dochodzi całkowita bierność armii, represje oraz fakt, że duża część służb mundurowych, sędziów, urzędników, ich rodzin – to olbrzymi elektorat władzy broniący status quo. Noszące lewicowy charakter protesty, których nie zdołała okiełznać od 23 lat dążąca do władzy opozycja, ucichły.

Można jednak odnotować sukces – 9 marca po pierwszych demonstracjach „moralny, ideologiczny dekret” został zawieszony na rok. Łukaszenka zażądał od urzędników, których oskarżył o niedopracowanie ustawy, żeby do 1 października uregulowali listy darmozjadów. Te osoby, które zapłaciły za 2016 r., będą zwolnione z podatku w roku 2017. Jeżeli zaczęła pracować – pieniądze powinny zostać zwrócone. Chociaż prezydent nie przyznał, że ustąpił, to takie zachowanie jest chyba pierwszym precedensem w jego rządach.

W corocznym apelu do narodu białoruskiego i Zgromadzenia Narodowego prezydent powiedział, że około 300 tys. darmozjadów trzeba zmusić do pracy, wykorzystując doświadczenie ZSRR. Wedle niego wszyscy powinni pracować, gdyż „Bezrobotny – to przyszyły przestępca”. Z rozkazu prezydenta do 1 maja wszyscy powinni dostać pracę – aktualne statystyki mówią o mniej niż 1% bezrobotnych.

Białorusinów wciąż ratuje „szara strefa” zatrudnienia oraz działki ogrodowe. Prawdziwy wybuch społeczny może wydarzyć się niespodziewanie i najpewniej wywoła go nie opozycja, ale głód. Tymczasem „gorąca wiosna” minęła, 11 maja na Białorusi spadło do 10 cm śniegu...

Aleksander Łaniewski

śladowcami, a prześladowcy zawsze używają identyfikacji narodowej, aby skłócić ludzi i na tym skorzystać.

■ Poprzednie pytanie wydało mi się dosyć istotne. Wszak temat Aleksandra Kolczeni, anarchisty publicznie śpiewającego hymn Ukrainy, nadal przewija się w mediach.

Istnieje wiele przykładów, gdy niektóre pieśni stają się oficjalnym motywem. Na przykład Marsylianka lub Międzynarodówka. Kolczenko wziął udział w Majdanie, a ta piosenka – w głosie setek tysięcy osób – stała się symbolem walki z tyranią. Kolczenko z resztą sam pisał o tym w więzieniu.

■ Powracając do tematu walk na Majdanie. Czy były jakieś kolektywy, które jawnie nawoływały do bojkotowania włączenia się w walkę zbrojną?

Nawet jeśli ktoś był przeciwno, milczeli. Setki ludzi umierały na oczach całego świata. W tej sytuacji tylko strach na wróble był przeciwko przemocy.

■ To ciekawy dylemat przewijający się w ruchu anarchistycznym w takich sytuacjach. Dylemat między szacowaniem swoich szans na wygraną, a czynnym uczestnictwem w walce mimo wszystko. W poprzednim numerze A-TAKu (dotyczy tekstu „Gdy No pasaran! Znaczą Sława Ukraini!”) można było przeczytać tezę, mówiącą o słuszności tworzenia anarchistycznej społeczności niezależnej od państwa tylko na terenie Ukrainy, negującą takowe starania np. w Donbasie. Walka zbrojna z Ukrainą i Rosją została zanegowana i z założenia skazana na porażkę.

Dziwna opinia. Z historii wiemy, że najsilniejsze ruchy anarchistyczne rozwijały się w krajach autorytarnych i opresyjnych – tam gdzie władza nie mogła ukryć swojej twarzy drapieżników pod maską iluzji demokracji. Wielkie zwycięstwo zaczyna się od małej walki. Machnowszczyzna pojawiła się na popiele Imperium Rosyjskiego, otoczona przez armie zawodowe: niemieckie, austriackie, „czerwonych”, „białych”,

ukraińskich nacjonalistów, ale potrafiono opierać się im wszystkim przez długi czas. Trzon machnowszczyzny składał się ze starych rewolucjonistów, którzy walczyli z caratem wcześniej. Dziś w syryjskim Kurdystanie region Rojava (znajduje się między Turcją, Irakiem, państwem islamskim, siłami Asada i innymi islamistycznymi fundamentalistami) opiera się tym wszystkim zawodowym wojskom. Rdzeniem milicji

kurdyjskiej są doświadczeni partyzanci, którzy walczyli dziesiątki lat z reżimem Erdogana i Asada. Nigdy nie wiadomo, kiedy będzie odpowiedni moment na duże powstanie. Jednakże bez doświadczenia na pewno byśmy je przegapili.

■ Dziękuję za rozmowę. Dzięki

Xyz

Nasz rozmówca jest aktywistą działającym w ruchu anarchistycznym na Wschodzie. Zdecydował się nie ujawniać swoich personaliów, gdyż zarówno on, jak i jego rodzina byli represjonowani przez władze.

REKLAMA

OBÓZ ANARCHISTYCZNY 2017

12-20.08.2017

Wśród poruszanych tematów m.in.:

- Wiktyimizacja ruchu anarchistycznego
- Bezpieczeństwo wśród anarchistów
- Historia anarchistycznej przemocy w Polsce
- Imigranci w Calais
- Zielony anarchizm
- KOD ist tot - upadek neoliberalnej rewolty i wiele innych...

Chcesz spróbować współtworzyć anarchistyczną wspólnotę? Przyjedź na Obóz Anarchistyczny w Beskidy! Tam, porozmawiamy o nurtujących nas tematach, wspólnie spędzimy czas, wypoczywając i pracując razem, wędrując po górach... Bierz namiot, śpiwór i dobre chęci. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej, pytaj...

KONTAKTY: 789 224 448 Kasia, e-mail: oboz-anarchistyczny@riseup.net
facebook: Obóz Anarchistyczny 2017

KONGRES INDIAN W CHIAPAS

W dniach 26-28 maja 2017, w niezależnym uniwersytecie Cideci w San Cristobal de las Casas (Chiapas, Meksyk) odbył się kolejny Kongres Indian – Congreso Nacional Indígena (CNI). Było to historyczne wydarzenie nie tylko dla rdzennej ludności Meksyku, lecz także dla Indian z pozostałych krajów obydwu Ameryk. Wykorzystywana i zepchnięta na margines społeczny etniczna ludność m.in. Meksyku, od ponad 20 lat próbuje walczyć o swoje prawa organizując się oddolnie, organicznie i niezależnie od państwa.

CNI w tym roku było wyjątkowe. Setki delegatów z 58 komun, miast i wsi (m.in. z Chile, Gwatemali, USA, Meksyku) spotkało się, by razem dyskutować o strategiach i przyszłości, by radzić i planować, by wspólnie zorganizować pracę w przyszłym rządzie (jako rada CIG - Concejo Indígena de Gobierno, ang. Indigenus Government Council) oraz rozwijać pomysły w związku z projektem kandydatury na prezydentkę kraju tak zwanej vocera („głosu”; „głosu wszystkich Indian”; „advokatki Indian”, ang. spokesperson, spokewoman) w wyborach prezydenckich 2018. Kandydatką tą jest Maria de Jesus Patricia Martinez.

„Esencją naszej walki jest opór etnicznej ludności. Nasz głos ma być niesiony przez tę kobietę, która będzie nas wszystkich reprezentować. Vocera będzie naszym słowem i protestem w tym skorumpowanym kapitalistycznym świecie. Walka trwa! Zebrani i zebrane tu, w tym miejscu, w imieniu biednych i dyskryminowanych, oświadczamy, że demokratycznie wybraliśmy i wybrałyśmy tę kandydatkę wierząc, że może to przynieść pozytywne zmiany dla naszej przyszłości. W imieniu ziemi, zwierząt, naszych przodków i ludu bierzemy udział w tym historycznym momencie...”*. Po tym odczycie w ostatnim dniu Kongresu poproszono wszystkich zgromadzonych na sali (ponad tysiąc ludzi), by wspólnie i głośno wyrazili swoje poparcie dla tej decyzji.

Ciekawym momentem po zakończeniu i obwieszczeniu wyników obrad było wystąpienie Indian z Arizony (USA). Akt ten miał wprowadzić sojusz w czasie kryzysu relacji meksykańsko-amerykańskich. „Jesteśmy wysłannikami ludzi, którzy doznali represji. Utożsamiamy się z waszą walką i waszymi problemami tu, w Meksyku. Nie chcemy nazywać się mieszkańcami Stanów Zjednoczonych. Nie jesteśmy amerykańskimi Indianami. Jesteśmy KAŻDYM i WSZYSTKIMI. Jesteśmy Indianami – ludźmi lasu, ziemi, gór i rzek... Kiedy dostaliśmy od Was zaproszenie, przyjęliśmy je z zaszczycem. Mamy wspólnych przodków. Chcemy wam powiedzieć, że w czasach Trumpa jesteśmy przeciwni zbudowaniu muru! Będziemy zawsze wspierać imigrantów z Ameryki Południowej i przyjmować ich do siebie! Doświadczaliśmy dyskryminacji takiej jak ta przez setki lat i przetrwalimy. Wy też musicie być silni i się nie poddawać. Musimy nadal nieustannie działać i informować o tym, kim jesteśmy i o co walczymy”*. Następnie został odprawiony tajny rytuał specjalnie dla kandydatki Marii Martinez, w czasie którego poproszono wszystkich o wyłączenie kamer, aparatów i telefonów. Przekazano jej dar w postaci orlego pióra, by jednocześnie uczcić pamięć wszystkich kobiet, które zginęły przekraczając granice w stanie Kalifornia.

W czasie tegorocznego CNI nie zabrakło Zapatystek i Zapatystów, które i którzy zasiedli w ostatnich rzędach z tyłu sali, bardziej jako obserwatorzy niżeli uczestnicy. Na otwarciu obrad pojawił się m.in. Subcomandante Galeano (dawniej zwany Marcosem). Jego wystąpienie było milczące, a głos zabrała towarzysząca mu dziewczynka w kominiarce, która obwieściła

zebranych: „NIE BÓJCIE SIĘ”. Obecność Zapatystów miała raczej charakter symboliczny jednak bardzo istotny. Rewolucjonistki i rewolucjoniści z Chiapas wspierają Marię Martinez w jej walce o prawa uciśnionych Indian. Ruch zapatystowski wierzy również, że jej wejście do rządu (jeśli w ogóle nastąpi), będzie dopiero początkiem zmian. Rozpocznie to proces dekonstrukcji obecnej rasistowskiej i kapitalistycznej polityki Meksyku. Otworzy oczy i umysły wszystkich ludzi obydwu Ameryk, by ostatecznie wcielić w życie zapatystowskie utopijne idee.

„ELZN ma silny związek z etniczną ludnością oraz CNI. Bazuje on na wielkim szacunku. To oczywiste, że gdy CNI ogłosił kandydaturę towarzyszk Marichuy, zapytano ELZN o ich opinię. Następnie comandantas poprosili o to, by porozmawiać z nią w cztery oczy o ich uczuciach w sercach. Po rozmowie ogłosili, że ich obecność (anonimowa) ma być znakiem poparcia dla sprawy w czasie zgromadzenia CNI w maju 2017 roku. Bez wątpienia Maria de Jesus Patricia prezentuje założenia i idee CNI, o czym świadczyć może jej piękne i silne przemówie-

nie w marcu 2001 roku w San Lazaro: „Ziemia i terytorium mają szczególne znaczenie dla naszych ludzi - dla nas Ziemia jest Matką, urodziła nas oraz daje życie wszystkiemu dookoła. Każdy strumyk, każda skała, każde wzgórze oddycha i ma swe istnienie w Niej. Jako że Ziemia jest źródłem życia i jest w jego posiadaniu, jest dla nas świętością. Matka Ziemia karmi nas, otrzymujemy od Niej powietrze, słońce, które nas oświeca, światło do pracy, ciemność, by odpocząć i śnić. Od momentu narodzin otrzymujemy od Niej pierwsze spojrzenie oraz pierwszy oddech. Wracamy do niej na końcu naszej drogi w tym świecie. Nie możemy się zgodzić na to, by nasze terytoria i ziemie, były sprzedawane i kupowane jak jakiś produkt”.

CNI, które wytworzyło radę CIG (71 członkiń i członków) jest wyrazem potencjału Indian, ich dojrzałości oraz świadomości wspólnoty i siły, która mobilizuje do zmian. CIG nie przyświeca chęć wzbogacenia się, to nie kolejna partia, która dba o swoje egoistyczne interesy. Spokeperson oraz CIG przedstawiają nam projekt na nowe życie, by się organizować, by ożywić ludzi. Tu nie chodzi o zbieranie głosów

i napełnianie portfela. To niezbędny krok dla społeczeństwa, by przetrwać. Nic więcej, nic mniej”**.

To tylko jeden z licznych frontów tej samej walki. ELZN (Ejército Zapatista de Liberación Nacional, lewicowa polityczna i militarna grupa z Chiapas) nadal fizycznie okupuje ziemie oraz inspiruje innych do podobnych działań. Grup i organizacji na terenie Meksyku, które przejmują strategię zapatystowskie, przybywa! W świecie nasilającego się rasizmu i dyskryminacji dają nadzieję na lepsze jutro, głosząc idee tolerancji, szacunku i demokracji.

W Asamblea Constitutiva del Concejo Indígena de Gobierno para Mexico wzięły udział 1482 osoby - 1252 przedstawiciele Indian, 230 Zapatystów i Zapatystek. Zjazd na miejscu obserwowali setki ludzi z całego świata.

* tłumaczenie własne z wypowiedzi w ramach CNI2017 z angielskiego i hiszpańskiego

** tłumaczenie własne ze strony www.chiapas-support.org [8.06.17]

Olsen



Chiapas, Meksyk: Kongres Indian



fol: olsen



FEMINIZM LIBERALNY?

Rozwój instytucji demokratycznych w ciągu ostatnich dekad szedł w parze z dramatycznym wzrostem nierówności społecznych. Nie dziwi więc fakt, że dla znaczącej części ubożającego społeczeństwa, które słono płaci za wyczyny władz, demokracja jest pustym sloganem. Zamiast państwa demokratycznego i obywatelskiego woli ono posiadać dostęp do chociażby minimalnych zabezpieczeń socjalnych. Z perspektywy pracownicy liberalne środowiska skupione wokół PO, Nowoczesnej i KOD-u są równie antydemokratyczne jak prawica spod znaku PiS czy kościół katolicki. Różnica między jednym a drugim polega obecnie na tym, że liberałowie w walce o utracone stołki, próbują wykorzystać niezadowolenie społeczne do własnych celów.

Od kwietnia 2016 r. mieliśmy do czynienia z falą protestów przeciwko projektowi Ordo Iuris delegalizującemu dostęp do aborcji. Demonstracje z 3 października były punktem kulminacyjnym kilkumiesięcznych mobilizacji. „Strajk kobiet” był z kolei hasłem mobilizacyjnym, które służyło wyrażeniu gniewu i podkreśleniu jego ekonomicznego tła. Nie była to żadna sformalizowana organizacja. Strajk jest formą nacisku stosowaną przez pracowników, w tym wypadku kobiety odmawiające wykonywania narzuconych im obowiązków. Strajk zwraca uwagę na podporządkowanie naszego życia regułom pracy, także pracy reprodukcyjnej. Od października kwestia dostępu do legalnej aborcji przestała być jedynie problemem wolnego wyboru i zaczęła dotyczyć miejsca kobiet w kapitalistycznym podziale pracy. Przez wiele miesięcy mówiły one o problemach, jakie wynikają z braku zabezpieczeń socjalnych, żłobków, przedszkoli, opieki zdrowotnej, tanich mieszkań. Poruszały kwestie umów śmieciowych i pracy w szarej strefie, co umożliwiły działania obecnego i wszystkich poprzednich rządów. To odróżniało ruch kobiet od ruchu kierowane-

go przez liberalne elity, którego jedynym celem jest przejęcie władzy obecnie sprawowanej przez PiS. Protesty przeciwko zaostreniu prawa do aborcji przez długi czas organizowane były w sposób niehierarchiczny, z udziałem bardzo wielu różnych środowisk i osób, bez liderów.

Ich sukces obecnie starają się wykorzystać środowiska liberalne. Kolejny Strajk Kobiet, organizowany dwa tygodnie po pierwszym przez środowisko związane z KOD-em, stawał na jedną liderkę z Wrocławia. To samo środowisko stworzyło stowarzyszenie Ogólnopolski Strajk Kobiet, próbując wtłoczyć hasło mobilizacyjne w wąskie ramy własnej organizacji. Liberalne działaczki reprezentujące interesy klasy średniej próbują obecnie skanalizować czarny protest, aby ograniczył się jedynie do krytyki partii rządzącej, tak jak czynił to KOD. Środowiska liberalne usiłują wykorzystać niezadowolenie kobiet do ponownego zdobycia władzy po tym, jak utraciły ją w skali krajowej i w skali globalnej. Sytuacja ta zmusza nas do postawienia pytania, czy feminizm w ogóle ma coś wspólnego z liberalizmem, jakiego od dekad doświadczamy na własnej skórze? Czy feminizm polega na zasiadaniu kobiet w radach nadzorczych przedsiębiorstw lub na wysokich stanowiskach w instytucjach państwowych? Co jest przyczyną niskich płac kobiet, cięć zabezpieczeń społecznych, zakazu aborcji – brak kobiet w parlamencie czy system gospodarczy, który wzmacnia nierówności społeczne?

NASZ FEMINIZM

Walka z opresją kobiet musi iść w parze ze zmianami organizacji naszych społeczeństw. Krytykę tylko jednej konserwatywnej partii politycznej, ogólnie narzucone postulaty i zacieranie problemu nierówności ekonomicznych występujących pomiędzy kobietami, pozostawmy liberałkom – polityczkom, businesswomen, prezeskom organizacji pozarządowych. Ich „feminizm” pomija fakt, że żyje-

my w społeczeństwie wzrastających podziałów klasowych. Ruch feministyczny nie zdobędzie uznania wśród tych, które go naprawdę potrzebują, dopóki nie zakwestionuje kapitalistycznego podziału pracy i wyzysku stosowanego również przez kobiety na uprzywilejowanych stanowiskach wobec reszty kobiet.

Nierzadko odpowiedź kobiecych grup na ucisk ekonomiczny sprowadza się do postulatu równości płac kobiet i mężczyzn zatrudnionych na tych samych stanowiskach. Choć to ważne żądanie, dotyczy ono często stanowisk kierowniczych i lepiej opłacanych zawodów. Kobiety i mężczyźni zatrudnieni przy pracach prostych, w lokalach gastronomicznych czy w instytucjach opiekuńczych są przeważnie równie nisko opłacani. Bardziej efektywne pod względem znoszenia nierówności społecznych jest przekierowanie środków publicznych na opiekę, służbę zdrowia i edukację (włączając w to finansowanie stołówek) – nie tylko rozwijanie działalności instytucji opiekuńczych, ale także podnoszenie płac zatrudnionych w nich osób. Zwiększenie świadczeń socjalnych i skrócenie długości dnia roboczego przy jednoczesnym podniesieniu płac to zasadnicze sposoby uzyskania niezależności przez kobiety, które obecnie są przykute do domów i miejsc pracy, gdzie niepodzielnie panuje patriarchy.

Żądania ekonomiczne wiążą się ze wszystkimi sferami życia kobiet utrzymujących się z pracy. Materialne warunki naszego życia wpływają bowiem chociażby na naszą seksualność. Dopóki jedyną regułą działania obecnego systemu gospodarczego pozostaje maksymalizacja zysków osiągniętych przez elitę, tak długo nie będziemy miały wpływu na to, kiedy i w jakich warunkach urodzimy nasze potomstwo. Wciąż wmawia się nam, że spadek liczby urodzeń nie służy gospodarce, nikt jednak nie pyta, czy my i nasze dzieci chcemy jej służyć. Wyzwolenie kobiet polega na wyzwoleniu od konieczności podporządkowania naszego życia pracy.

PRZECIWKO CZEMU PROTESTUJEMY?

Przeciwko wszelkim formom ucisku kobiet. Przeciwko niskim płacom, ciężkim warunkom pracy, cięciom zabezpieczeń socjalnych, niewydolnej służbie zdrowia, ograniczaniu dostępu do mieszkań, niedofinansowaniu opieki i edukacji, nadmiernemu obciążeniu pracą w domu, głodowym emeryturom, przyzwoleniu na przemoc, ograniczaniu praw migrantek i migrantów, zmuszaniu nas do bycia posłusznymi obywatelkami, pracownicami, matkami i żonami.

CZEGO CHCEMY?

Całkowitego opłacenia naszej pracy, bez względu na to, czy wykonujemy ją w fabryce, w szkole, w biurze czy we własnym domu. Rozwoju publicznych instytucji opiekuńczych dla dzieci i osób starszych, dostępu do środków utrzymania, których potrzebujemy na co dzień, powszechnej opieki medycznej, bezpieczeństwa socjalnego, wpływu na wszystkie dziedziny naszego życia, wyzwolenia się z roli taniej siły roboczej.

Przez ostatnie 27 lat w Polsce żaden rząd nie kwestionował neoliberalnego kursu prywatyzacji i cięć socjalnych. Ograniczanie wydatków na szkoły, szpitale, przedszkola, stołówki, świetlice itd. wciąż powoduje pogorszenie warunków życia wielu kobiet i rodzin pracowniczych. Między 1990 a 2005 r. liczba publicznych przedszkoli spadła o 38%, a żłobków o 74%. Odsetek dzieci uczęszczających na zajęcia pozalekcyjne zmniejszył się z 50% (w podstawówkach) oraz 70% (w liceach) do jedynie 10%. Państwo uchylając się od obowiązku opieki nad osobami starszymi i dziećmi, przerzuca go na barki kobiet. Jednocześnie utrata lub obniżanie płac i wzrost cen środków utrzymania spowodowały „renesans” wielopokoleniowej rodziny z mężczyzną jako jej głową.

DEMOKRACJA BEZ DOBROBYTU

Polskie rządy postulat powszechnego dobrobytu dla wszystkich traktują jako niebezpieczną utopię bloku-

jącą rozwój prawdziwej demokracji, której podstawą ma być społeczeństwo obywatelskie. Społeczeństwo obywatelskie staje się natomiast synonimem demontażu państwowych instytucji opiekuńczych i zastępowania ich organizacjami pozarządowymi. W Polsce rozkwitowi trzeciego sektora towarzyszyło wprowadzenie pakietu antykrzysowego, cięcia socjalne, wydłużenie wieku emerytalnego, rozpowszechnienie umów śmieciowych, zniesienie 8-godzinnego dnia pracy, wprowadzenie rocznego okresu rozliczeniowego, kolejna fala zamykania szkół i przedszkoli, próba prywatyzacji żłobków, masowe eksmisje na bruk, sprzedawanie miejskich parków deweloperom itd. Obywatele uczestniczący w życiu publicznym mają amortyzować rezultaty liberalnej polityki zorientowanej na maksymalizację zysków, przywileje dla przedsiębiorców i rozwój indywidualnych karier dla wybrańców.

Wymownym tego przykładem były działania poznańskich władz, które w 2011 r. sporządziły projekt prywatyzacji miejskich żłobków określany jako „uspołecznienie”. Zakładał on przekazanie zarządu nad nimi stowarzyszeniom lub fundacjom wyłonionym na drodze konkursu. Radni przekonywali wówczas opiekunki, aby „przejmowały swoje zakłady pracy”, odwołując się do idei samorządności i demokracji. Opiekunki zdawały sobie jednak sprawę, że politycy próbują w ten sposób uniknąć odpowiedzialności za niedorozwój sektora opieki. Partycypacja sprowadzać się miała do zarządzania biedą i współdecydowania o tym, w jaki sposób obniżyć niezbędne wydatki urzędu. Nie zakładano zwiększenia wpływu pracownic żłobków na miejski budżet i wzrostu wydatków na sektor opieki – o tym w dalszym ciągu decydować mieli jedynie radni. W odpowiedzi na zakusy polityków pracownice wstąpiły do związku zawodowego, zablokowały „uspołecznienie” (czyli prywatyzację) żłobków i plany podniesienia czesnego dla rodziców, a ponadto wywalczyły podwyżkę swoich skrajnie niskich płac. Społeczeństwu obywatelskiemu na modłę liberalną przeciwstawiły solidarność pracowniczą.



Poznań: anarchistki i anarchiści na Manifie

NIE TYLKO BIEDA MA TWARZ **KOBIETY** STRAJK TAKŻE!

W 2000 roku w Warszawie odbyła się pierwsza Manifa - demonstracja nawiązująca do tradycji Międzynarodowego Dnia Kobiet. Została ona zorganizowana w proteście przeciwko policyjnej akcji w Lublińcu, podczas której, na podstawie anonimowego donosu, zatrzymano pacjentkę w czasie wizyty u ginekologa i zmuszono do poddania się badaniu sprawdzającemu, czy nie doszło do zabiegu usunięcia ciąży. Ta demonstracja przerodziła się w ogólnopolską mobilizację feministyczną.

Z czasem Manify zaczęto organizować w całej Polsce. W tym roku odbyły się one m.in. w Warszawie, Wrocławiu, Krakowie, Poznaniu, Łodzi, Kielcach, Trójmieście, Szczecinie, Lublinie, Toruniu, Olsztynie, Koszalinie oraz na Śląsku. Protestowałyśmy pod wspólnym hasłem „przeciw przemocy władzy”, chcąc zaakcentować, że nie zgadzamy się na żadną formę ucisku kobiet, stosowaną przez jakąkolwiek władzę. Podobnie jak inne feministyczne ruchy na świecie nie ograniczamy naszej krytyki jedynie do kontestacji prawicowych rządów. Despotyzm w miejscu pracy, represje i eksmisje na bruk nie znikną po tym, jak liberałowie ponownie zdobędą władzę.

Od lat 90. żaden polski rząd nie kwestionował neoliberalnego kursu prywatyzacji i cięć socjalnych. Ograniczanie wydatków na szkoły, szpitale, przedszkola, stołówki, świetlice, prywatyzacja zasobów komunalnych, spadek płac w sfeminizowanych zawodach, wzrost bezrobocia wśród kobiet, uelastycznianie rynku pracy, podniesienie wieku emerytalnego i inne działania spowodowały pogorszenie warunków życia wielu kobiet i rodzin pracowniczych.

Od tego czasu bardzo często to kobiety stawiają opór wobec politycznej i ekonomicznej opresji, inicjując strajki, okupacje, blokady oraz inne działania prowadzące do zmiany stosunków

społecznych. Wychodząc każdego roku na Manify staramy się wspólnie tworzyć przestrzeń dla łączenia tych momentów kobiecej rebelii.

Razem organizowałyśmy strajk 3 października przeciwko projektowi zaostreżenia tzw. „ustawy aborcyjnej”. „Strajk kobiet” był dla nas hasłem mobilizacyjnym, które służyło wyrażeniu gniewu i podkreśleniu jego ekonomicznego tła. Nie była to żadna sformalizowana organizacja. Zrobiłyśmy to w sposób niehierarchiczny, z udziałem bardzo wielu różnych środowisk i osób – bez liderki.

Rozlanie się strajku na inne kraje, ponadnarodowa solidarność, dodały nam siły i odwagi do dalszej walki. Czarny Protest w Polsce, masowe mobilizacje w Argentynie, Irlandii, RPA, Korei Południowej, Ameryce oraz działania na rzecz Międzynarodowego Strajku Kobiet pokazują, że posiadamy ogromną moc, dzięki której możemy wprowadzić społeczne zmiany w skali globalnej. Nie tylko bieda ma twarz kobiety – strajk także.

Popieramy wszystkie walki o lepsze życie dla tych, dla których jest ono podporządkowane regułom pracy! Solidaryzujemy się z protestami lokatorek, matek, opiekunek i innych pracownic, migrantek, niepełnosprawnych, ekolożek, mniejszości seksualnych i wszystkich stawiających opór opresji religii. Opowiadamy się za wspólną walką o godne płace, zabezpieczenia socjalne, powszechnie dostępną służbę zdrowia wraz z możliwością przerywania ciąży, o dach nad głową, darmową edukację, darmowe instytucje opiekuńcze dla dzieci i osób starszych, dostatek emerytury - wszystko ponad granicami państwowymi, przeciwko konserwatom i liberałom! Razem jesteśmy silniejsze!

MANIFA Polska



Manifa w Toruniu



Manifa w Katowicach

A JEDNAK 500 NA PLUS

W poprzednim Ataku zamieszczony został tekst pt. „500+ 750-”, w którym działacz gdańskiego RSA przedstawia swoją - wysoce krytyczną - opinię na temat rządowego programu 500+. Szanując osobiste poglądy autora trzeba jednak zwrócić uwagę, że jego wnioski oparte są na wywodzie, który płynie zupełnie niezależnie od podstawowych faktów.

Fakty są zaś takie: Ze współczynnikiem dzietności na poziomie ok. 1.3 Polska zajmuje według Banku Światowego 192 pozycję na 200 sklasyfikowanych państw¹. Dla kraju, w którym innowacyjność leży, a głównym „zasobem” jest tania siła robocza, który (nawet gdyby chciał) nie bardzo ma czym przyciągać imigrantów, taka sytuacja demograficzna to dramat.

Przyczyny takiego stanu rzeczy są złożone, zarówno kulturowe, jak i ekonomiczne, jednak bez wątpienia olbrzymi negatywny wpływ na dzietność ma struktura nierówności majątkowych. Otóż wychowywanie dzieci w Polsce wpływa negatywnie na poziom życia oraz sprzyja zagrożeniu ubóstwem. Jest to zjawisko bardzo dobrze udokumentowane i statystycznie zbadane przez szereg instytucji państwowych (GUS), porządkowych (EAPN Polska) i zagranicznych (BŚ, Eurostat). O ile relatywny współczynnik ubóstwa w całym społeczeństwie wynosi ok.

18%, to w przypadku dzieci wzrasta do ok. 25%. Ubóstwo skrajne (dochody poniżej minimum egzystencji) dotyka 7.5% społeczeństwa i aż 12% dzieci².

Raport pt. „Warunki życia rodzin w Polsce” opublikowany przez GUS w 2014 roku wskazuje, że szczególnie źle przedstawia się sytuacja rodzin wielodzietnych³. Posiadanie na utrzymaniu trójki lub więcej dzieci powoduje skokowy wzrost trudności w zaspokojeniu ich podstawowych potrzeb. I tak 30% dzieci w rodzinach 3+ nie stać na dodatkowe zajęcia uzupełniające, 14% nie otrzymuje opieki dentystycznej, a 8,5% nie dostaje pełnowartościowego posiłku przynajmniej raz na dwa dni.

W takiej sytuacji próba poprawy sytuacji demograficznej poprzez redystrybucję dochodu na rzecz osób wychowujących dzieci, wydaje się jak najbardziej sensowna. Taką właśnie rolę pełni program 500+, niezależnie od innych intencji partii rządzącej. Jest oczywiście za wcześnie, żeby przewidzieć jak duży będzie ostateczny wpływ na przyrost naturalny, ale zdecydowaną poprawę sytuacji niezamożnych rodzin widać już teraz.

Pierwszą jaskółką zmian był ból dupy pewnej podstarzałej warszawskiej celebrytki, która już w zeszłym roku lamentowała, że bezprecedensowy najazd pospółstwa zrujnował

jej wakacje nad morzem. Cóż, we wspomnianym raporcie GUS liczba rodzin 3+ deklarujących, że nie jest w stanie wysłać dzieci na przynajmniej tygodniowy wypoczynek raz w roku, wyniosła aż 63,5%. Wygląda na to, że w kolejnej edycji raportu będzie znacznie niższa.

Kolejne fale medialnych lamentów opisywały m.in. trudności rodzimych „biznesmenów” ze znajdowaniem ludzi gotowych do pracy za głodowe stawki oraz problemy świetnie prosperującego dotychczas sektora parabanków. Na początku tego roku na skraju bankructwa stanęła notowana na giełdzie firma Marka SA, która jeszcze w 2015 roku miała 7 milionów zysku z udzielania krótkoterminowych pożyczek. W komunikacie o restrukturyzacji firma jako przyczynę trudności wskazała m.in. „rządowe transfery socjalne, które pojawiły się w wielodzietnych gospodarstwach domowych”⁴. Pojawiły się też doniesienia, że program 500+ umożliwił wielu osobom uregulowanie przeterminowanych zobowiązań i ucieczkę z rejestru dłużników⁵.

Prawdziwą bombą był natomiast raport Polskiego Komitetu Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu (EAPN Polska), który na podstawie analizy danych Banku Światowego oszacował, że program 500+ zmniejszy relatywny współ-

czynnik ubóstwa dzieci o 64%, natomiast ubóstwa skrajnego aż o 94%, do poziomu 0,7%. Jeśli te dane się potwierdzą, będzie to oznaczało, że zjawisko skrajnej biedy wśród dzieci zostało w ten sposób niemal wyeliminowane.

Jedynym większym mankamentem programu wydaje się wykluczenie „pierwszego dziecka” przy wyliczaniu wysokości zasiłku, jeśli rodzina przekracza (niewysoki) próg dochodowy. Dotyka to w szczególności osoby samotnie wychowujące jedno dziecko, które obok rodzin wielodzietnych również należą do kategorii wysokiego zagrożenia ubóstwem (patrz raport GUS). W ramach przeznaczonych na program pieniędzy można było to uwzględnić i nieco inaczej „zważyć” kryteria, jednak wydaje się, że zdecydowała wyborcza atrakcyjność okrągłej kwoty 500zł.

Fakty wskazują zatem, że 500+ to największy transfer socjalny w historii III RP, dość dobrze ukierunkowany i zaskakująco sprawnie wprowadzony. Póki co przynosi on zdecydowanie pozytywne efekty społeczne, ale również makroekonomiczne. Dodatkowa konsumpcja wyraźnie stymuluje wzrost i nic na razie nie wskazuje, żeby miały się spełnić przepowiednie telewizyjnych ekspertów spod hasła „budżet tego nie wytrzyma”.

Na tym tle tekst „500+ 750-” jawi się jako totalnie oderwany od rzeczywistości, choć z racji posiadania dzieci jego autor pewien kontakt z rzeczywistością ma. Przestrzegam jednak przed generalizowaniem i wnioskowaniem wyłącznie na podstawie własnych doświadczeń przedszkolnych. „Subkultura rodziców”, którzy jak już zaczęli robić dzieci, to nie poprzestają na jednym, może i jest widoczna w szatni, ale zdecydowanie nie w statystykach GUSu. Według nich aż 53,3% obecnie wychowywanych dzieci to jedynacy⁶. Natomiast za tytułowe 750- nie odpowiada obecny rząd, tylko realizowana przez samorządy polityka cięć w usługach publicznych (posłanie sześciolatek do szkół miało być świetnym pretekstem, żeby ograniczyć ilość miejsc w przedszkolach). Zresztą jeśli już w ten sposób liczymy korzyści, to przypominam, że nawet jeśli trzylatek nie dostanie się do publicznego przedszkola, to 500+ będzie dostawał do 18 urodzin, więc zdąży jeszcze wyjść na swoje.

Żeby nie było samych złośliwości, wspomnę jeszcze, że zgadzam się w kwestii wpływu programu 500+ na ekonomiczną emancypację kobiet. Większe możliwości rozwoju to jedno, ale warto też zwrócić uwagę na to, że gwarantowany przez państwo zasiłek na dzieci ułatwi wielu kobietom doświadczającym przemocy

500 PLUS TO NIE DAR TO ZDOBYCZ

Bezwzględnie program 500+ jest jednym z największych transferów socjalnych w Polsce po 1989 r., obojętnie na intencje rządzącej partii. Zgadzam się zatem ze spostrzeżeniami autora, który polemizuje z opublikowanym w poprzednim numerze „A-Taku” tekstem pt. „500+, 750-”. Warto jednak wspomnieć o kilku sprawach dotyczących szerszego kontekstu wprowadzenia tego programu.

■ DZIEDZICZENIE BIEDY

Wypada się cieszyć, iż badania zaczynają potwierdzać pozytywny wpływ 500+ na sytuację materialną wielu najuboższych gospodarstw domowych w Polsce. W przypadku dzieci szczególnej perwersji nabiera kapitalistyczna doktryna, która mówi, że każdy sam odpowiada za swój los. Teza ta w przypadku najmłodszych jest szczególnie trudna do obrony. Bieda jest przez nie po prostu dziedziczona, a kariera „od pucybuta do milionera” to mit, w najlepszym przypadku „incydent”, a nie ścieżka powszechnego awansu materialnego. Przyznawała to sama Platforma Obywatelska, która w swoich opracowaniach jeszcze w 2005 roku pisała: „Ponieważ mechanizmy wyrównujące szanse życiowe dzieciom pochodzącym z rodzin ubogich, bardzo często wiejskich, praktycznie nie istnieją, większość z nich nie będzie w stanie wyrwać się z kręgu ubóstwa, jeżeli będą funkcjonować dotychczasowe mechanizmy społeczne...”. Wykazano m.in., że zwłaszcza rodziny rolnicze uzyskują o 44% niższe dochody niż rodziny pracownicze¹. Z tego też powodu nie małym poparciem cieszyła się Samoobrona i organizowane przez nią blokady dróg. Wrzenie na prowincji miało swoje podłoże socjalne, które nie zawsze dostrzegano z perspektywy wielkomiejskich środowisk.

Sytuacja na wsi miała się zmienić po wejściu Polski do UE dzięki dotacjom rolniczym (szczególnie bezpośrednim) przekazywanym rolnikom jako dopłata do posiadanej przez niego hektara użytków rolnych. (To notabene rodzaj innej, w miarę dużej redystrybucji środków z jaką mieliśmy do czynienia w ostatnich dekadach). W latach 2007-2013 transfer ten wyniósł ogółem ok. 15,4 mld euro², czyli powiedzmy 61,6 mld zł. (W latach 2014-2020 ma on wynieść 23,3 mld

euro). Do tego dochodzą jeszcze unijne pieniądze (mniejsze) na rozwój obszarów wiejskich.

Pojawienie się tych środków na polskiej wsi spowodowało miało radykalne zmiany, wzrost przeciętnych dochodów rolników i polepszenie sytuacji bytowej. Wiele badań wskazywało na poprawę sytuacji materialnej mieszkańców obszarów wiejskich, ale dotacje unijne promowały przede wszystkim duże gospodarstwa rolne. Środki te tak naprawdę były dotacjami wynikającymi nie z sytuacji socjalnej, ale przede wszystkim z tytułu posiadania ziemi. A ponieważ na polskiej wsi dominowały gospodarstwa karłowate, pojawił się zatem problem rosnących nierówności dochodowych. Jak zauważył w 2015 r. magazyn Forbes: „Dochody rolników są też bardzo mocno zróżnicowane i to zróżnicowanie rośnie”. Weźmy np. współczynnik Giniego, który obrazuje nierówności w danym społeczeństwie; wyraża się on w skali od 0,0 do 1,0, gdzie przy 0,0 wszyscy członkowie społeczeństwa zarabiają tyle samo, natomiast 1,0 oznacza skrajną nierówność dochodową. W 2004 roku, przed wejściem Polski do UE, w przypadku rolników Gini wynosił 0,49, a w 2014 już 0,56 – przy średniej dla całego kraju ok. 0,34³.

■ KROPLE DOBROBYTU

Wbrew zatem przekonaniu neoliberalnych elit na wsi pozostały obszary biedy, zwłaszcza w regionach popegieerowskich, gdzie – jak wspominałem – względnie duża część mieszkańców posiadała jedynie niewielkie grunty i żyła (żyje) głównie z pracy najemnej w przemyśle i usługach. Ogólnie wieś się dziś proletaryzuje, zatem unijne dotacje bezpośrednie prawdopodobnie docierają większym strumieniem do coraz mniejszej grupy osób. Fałszywa okazała

się z kolei w tym przypadku tzw. teoria skapywania (która teorią ponoć nie jest, lecz tylko pewnym popularnym poglądem i ideologią) mówiąca, że bogactwo elit „skapuje” na biednych, poprawiając ich położenie materialne. Dlatego – wg liberałów ekonomicznych, także, jak sądzę, tych spod znaku PiS – pojawiające się różnice majątkowe nie są czymś złym. Wraz z bogaceniem się wybranych grup, zyskują też inne. Okazuje się, że te „kropelki bogactwa” do wielu dzieci z ubogich, wiejskich rodzin nigdy nie dochodziły.

Z drugiej strony, 500+ nie jest – jak się nieraz sądzi – programem „uniwersalnym” i wcale nie stanowi w historii Polski czegoś nadzwyczajnego. Wystarczy powiedzieć, iż w latach 70. i 80. poprzedniego stulecia dodatki rodzinne w PRL stanowiły nawet 6% krajowego funduszu płac. Zgodnie z danymi GUS za rok 2015 wsparcie rodzin wraz z programem 500+ stanowią ok. 3% krajowego funduszu płac. Biorąc nawet pod uwagę wszelkie różnice między sytuacją w okresie PRL i dziś (funkcjonowanie rynku pracy, pełne zatrudnienie vs. bezrobocie itd.), widzimy, iż 500+ nie jest czymś szczególnym. Wychowywałem się w okresie PRL w rodzinie, która dziś może uchodzić za wielodzietną (mam dwoje rodzeństwa) i moja niepracująca wówczas matka otrzymywała relatywnie spore sumy. Nie było też problemów, aby – kiedy dorośliśmy – podjęła ona w połowie lat 80. pracę najemną w przemyśle. Niekoniecznie zatem tego typu dodatki rodzinne muszą oznaczać dezaktywację zawodową kobiet, ale są – moim zdaniem – rekompensatą czy nawet rodzajem zapłaty za nieodpłatną, opiekuńczą pracę kobiet w domu. Obecne ubolewanie nad tym, że 500+ „wyrzuca” z rynku pracy kobiety, uważam za przesadzone i wyrażane nierzadko z perspektywy liberalnej tak, jakby praca matki trójki dzieci przy taśmie, w specjalnie strefie ekonomicznej za 2000 zł brutto miesięcznie, była czymś przez nią szczególnie pożądanym. Bynajmniej nie jest. Neoliberalni politycy (np. z Nowoczesnej) utyskują jednak, że jeżeli kobiety nie przyjmą tych półniewolniczych warunków pracy, nie „dorobią się” emerytur.

■ 500 PLUS NACJONALIZM

Jak doskonale pamiętamy, fakt wysokich dodatków rodzinnych nie uchronił PRLu od degradacji ekonomicznej i klęski politycznej. Dzisiejszy prawicowy rząd nie może zatem porzucić na tym systemie redystrybucji docho-

dów jakim jest 500+, jeżeli chce rządzić przez kolejnych – jak zapowiadają liderzy PiS – kilkanaście lat. Pamiętajmy, że wprowadzenie 500+ zbiegło się ze szczególnym wzrostem koniunktury gospodarczej, który nie będzie trwał wiecznie. Wahania koniunktury są integralną cechą gospodarki kapitalistycznej, której podstawą rząd PiS przecież nie chce zmieniać. Dlatego może się okazać, że w okresie ekonomicznej bessy PiS stanie się zakładnikiem własnego sztandarowego programu.

Powinniśmy już się zatem zastanawiać, jak będziemy bronić uzyskanych ustępstw socjalnych jak 500+, obniżenie wieku emerytalnego, czy progresja minimalnego wynagrodzenia. Nic nie zostało przecież społeczeństwu darowane. Wywalczono ustępstwa w bezpośrednim starciu z dzisiejszymi post-solidarnościowymi elitami. Nie głosowano przecież na PiS, aby wyjaśnić „tajemnicę smoleńską”, ale przede wszystkim z powodu wieku emerytalnego, niskich wynagrodzeń, śmieciowych umów i niedostatecznej redystrybucji dochodu społecznego na rzecz najuboższych klas. W każdy razie głosy wyborców oczekujących zmian w polityce gospodarczej, zapewniły PiSowi zwycięstwo. Kontynuacja ultraliberalnej polityki gospodarczej, popieranej od swojego zarania przez dzisiejszych liderów PiS (występujących w przeszłości pod różnymi partyjnymi szyldami), groziła trwałym odsunięciem post-solidarnościowców od władzy. Obecne pro-socjalne zmiany są próbą ratowania rządów tych elit, które wyłoniły się i ukształtowały w ciągu ostatnich ponad 25 lat. Choć oczywiście 500+ nie jest jedyną „bronią” w arsenale prawicy. Można do niego zaliczyć też np. straszenie uchodźcami czy nacjonalistyczną indoktrynację.

Jarosław Urbański

Przypisy:

¹ Jarosław Urbański, „Prekariat i nowa walka klas”, Poznań 2014, s. 224

² Piotr Prus, Bartosz Mickiewicz, „Analiza porównawcza instrumentów wsparcia WPR w ramach wieloletniej perspektywy finansowej 2014-2020 w stosunku do WPR 2007-2013”, Journal of Agribusiness and Rural Development nr 4(34)/2014, http://www.jard.edu.pl/pub/10_4_2014_pl.pdf

³ Tomasz Józwiak, „Rolnicy w Polsce mają dochody powyżej średniej krajowej”, [www.forbes.pl](http://www.forbes.pl/dochody-rolnikow-przychody-w-gospodarstwach-rolnych-rosna,artykuly,200488,1,1.html) z dn. 1.12.2015 r., <http://www.forbes.pl/dochody-rolnikow-przychody-w-gospodarstwach-rolnych-rosna,artykuly,200488,1,1.html>

podjęcie decyzji o kopnięciu „pana władcy” w dupę. Moim zdaniem to o wiele skuteczniejsze, niż uchwalanie kolejnych bezzębnych konwencji o zapobieganiu przemocy w rodzinie.

Oczywiście, dla anarchistów pewnym problemem musi być fakt, że tak pozytywne rezultaty przynosi program wprowadzony przez państwo, do tego pod rządami reakcyjnej prawicy. Jeśli ktoś odczuwa z tego powodu dyskomfort, to uspokajam - nadal można wzorem Andrzeja Gwiazdy „brać, nie kwitować”, czyli chwalić zasiłki dla rodzin, a krytykować trwonienie kasy na zbrojenia czy utrzymywanie niemoralnie niskich podatków dla bogaczy. Rząd Kaczyńskiego daje wystarczająco dużo powodów do krytyki i protestów, żeby każdy poczuł się spełniony.

Dyskusja na temat 500+ jest ważna dla ruchu anarchistycznego, bo stosunek do tego tematu umiejscawia nas na tle całej sceny politycznej. Jeśli tytuł innego artykułu z poprzedniego numeru A-taku - „Nie będziemy tęsknić za liberałami” - nie ma być tylko pustą deklaracją, jeśli nie

chcemy być bezwolną przystawką do środowiska Gazety Wyborczej, ustanawianej tam, gdzie akurat establishmentowi pasuje, to ważne, żebyśmy w takich kwestiach stali po odpowiedniej stronie. Po stronie ludzi.

Lukasz Muzioł

¹ https://en.wikipedia.org/wiki/List_of_sovereign_states_and_dependencies_by_total_fertility_rate

² <http://www.eapn.org.pl/wp-content/uploads/2016/12/przewidywania500.pdf>

³ <http://stat.gov.pl/obszary-tematyczne/warunki-zycia/dochody-wydatki-i-warunki-zycia-ludnosci/warunki-zycia-rodzin-w-polsce,13,1.html>

⁴ <http://strajk.eu/500-wykanca-lichwiarzy-pierwsza-firma-bankrutuje/>

⁵ <http://www.gazetaprawna.pl/artykuly/1031778,big-infomonitor-500-plus-pomocne-w-splaceniach-dlugow.html>

⁶ <http://www.portalsamorzadowy.pl/polityka-i-spolescenstwo/glowny-urzed-statystyczny-policzyl-ile-dzieci-maja-polskie-rodziny,87581.html>

REKLAMA

Feminizm i solidarność po neoliberalizmie



praktyka społeczna

CzasKultury

Cena 36 zł (w tym 5% VAT)

Do nabycia w księgarniach i Empikach (w działach prasowych). Książkę można też zamówić w wydawnictwie „Książka i Prasa” ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa tel. 22 624 17 27, e-mail: redakcja@iwkip.org, www.monde-diplomatique.pl



W IMIĘ OJCA I SYNA I DUCHA ŚWIĘTEGO

JACEK

- Wyborczą? Nie czytam, nigdy. Daj pan spokój, musiałbym się później dezynfekować. A dlaczego kłamią i nie piszą prawdy? Jest tyle innych gazet, np. Gazeta Polska.

Jacek został proboszczem w 2014, chwilę po odejściu Józefa na emeryturę. Na osiedle przyjechał z jednej z podwrocławskich miejscowości, w której dał się poznać jako dobry gospodarz. W opinii wielu był bardzo dobrym księdzem. Wyjechał świętym organizator, a miasteczko straciło najlepszego od lat menadżera.

- A cóż ja znowu takiego zrobiłem w tym Wrocławiu? Tyle że pojechałem i obrazki z Janem Pawłem II położyłem na jego grobie. Później je co łaska wiernym sprzedawałem. A że wziąłem adresy z księgi parafialnej i listę zrobiłem, to już afera, że dane poufne i według listy ministranci chodzili? Już się tu kręcił jeden taki z gazety. I problemów pełno, do Kurii musiałem jeździć i się tłumaczyć. Na miłość Boską, bez przesady, przecież pieniądze parafii są potrzebne. I ludzie są zadowoleni. To chyba tylko we Wrocławiu takie problemy są możliwe.

Kruczoczarne włosy kontrastują z dojrzałością, kojarzoną zazwyczaj z plackowatą łysiną i nadwątłym zdrowiem. Oczy głęboko wciśnięte w opuchniętą twarz nie pozwalają odczytać myśli. Nieprzewidywalność zamknięta przekrwionym bielmem i bruzdami przechodzącymi znad czoła. Gładkość dłoni potwierdza status i pozycję na którą pracował wiele lat. Nie rąbie drewna na opał i nie przerzuca węgla w parafialnej kotłowni. Nie sprząta i nie gotuje, nie myje czarnego volkwagena zaparkowanego w garażu. Nie pastuje zawsze błyszczących butów.

W przeciwieństwie do głosu Mietka Czechowicza z Misia Uszatka, którym zwykle odprawia nabożeństwa teraz mówi inaczej. Każde słowo wybrzmiewa mocno. Teatralnie pracuje pauzą, pozwalając treści wybrzmieć do końca. Nie pozwala na dyskusję. Zupełnie jakby formuła rozmowy oznaczała monolog zakończony akceptacją słuchacza. Lista zasług, którymi może się pochwalić jest długa. Z pewnością operatywności nie można mu odmówić. Po przyjeździe na osiedle: dwa ołtarze z trzema relikwiami, reanimowana schola, nowa farba na ścianach świątyni, wizyty gości zagranicznych.

Mary Wagner obrończyni „dzieci nienarodzonych” przyjechała wprost z Kanady. W więzieniu spędziła łącznie sześć lat za wdzieranie się do klinik aborcyjnych i nakłanianie kobiet do rezygnacji z zabiegów. Bardzo się zaprzyjaźniła z Jackiem. Doceniła też jego wkład w świętą misję. Ogromne banery ze zdjęciami ofiar aborcji na ogrodzeniu kościoła. Wizerunek Adolfa Hitlera sugestywnie przypominający, kim są zwolennicy aborcji. Tylko nikt nie mógł zrozumieć dlaczego na jednym z nich ktoś dopisał „religia zabija”. Jacek, podobnie jak Mary, dba również o innych. Szczególną troską objął najbliższą rodzinę, co nie umknęło uwadze parafian, którzy na portalach internetowych dzielą się swoimi opiniami.

- Ksiądz Jacek żąda za pogrzeb 500 zł. Wszystko ma swoją cenę. Buduje dom dla siostry. Trzeba się zjednoczyć i pożegnać go z naszej parafii – pisze jeden z nich.

ŚWIĄTYNIA BOŻA

Kościół wybudowano w latach 80. zgodnie z rzymskokatolicką tradycją. Pomimo górujących wokół jedenastopiętrowców zaprojektowany został tak, aby mimo wszystko dominować nad okolicą. Uwagę zwraca kubatura, pochodna gigantomanii i specyficznego poczucia piękna. Bezkształtny, wieloboczny gmach z podwójnym krzyżem na dachu, najbardziej przypomina jeden ze schronów przeciwlotniczych. W środku świeże kwiaty i wzorzysty dywan. Chłodno przez cały rok. Każdy miesiąc ma swoją specyfikę zapisaną w kalendarzu liturgicznym. Z nadejściem października zaczyna się różaniec, w grudniu roraty, przed Wielkanocą droga krzyżowa. Niedziele zwykłe, adwentowe, wielkopostne. Na tablicy parafialnej zaproszenie od Rodziny Radia Maryja, Krwi Chrystusa i Grupy Biblijnej.

Duszpasterską wspólnotę uzupełniają dwaj wikariusze, tworząc z proboszczem trójcę przybyłą na osiedle w jednym czasie. W ciągu zaledwie dwóch lat wypracowali wspólne przesłanie. Menadżer wskazał strategię i określił cel. Ewaluacja przebiegła pomyślnie. Trójca stała się jednością i zamieszkała między parafianami. Dogłądanie trzódki co roku zapowiadają ministranci i ogłoszenia w okolicy stycznia. Kołęda trwa zwykle miesiąc, ale czasu jest i tak zbyt mało, aby wysłuchać

wszystkich żali, utyskiwań. Wierni swoje intencje mogą powierzać w formie pisemnej. W każdy wtorek odczytywane są podczas mszy, chwilę po ewangelii.

- Matko Boża, proszę o pomoc mojemu synowi, aby wyszedł z nałogu.

- Najświętsza Panienko, proszę o pracę dla moich dzieci i żeby syn przestał pić i żonę szanował.

- O pracę dla męża i żeby się nawrócił, proszę Święta Maryjo.

- O pogodzenie synowej i wiarę dla męża.

- O to, o tamto, nigdy o pieniądze i dobra doczesne.

Intencje czytane jak numery wyciągane wprost z maszyny losującej.

ADAM

Dzisiejszą mszę celebrytuje Adam, najbardziej błyskotliwy spośród wszystkich.

Pewny siebie, wysoki. Typ żołnierza, który zgodnie z rozkazem wypełnia każdą misję. Krótko przystrzyżony po bokach, z błyszczą grzywką zaczesaną w lewą stronę. Grzywka Adama to jedyny element przypominający o tym, że nie wszystko musi być prawe. Męskie atrybuty uzupełnia niski, donośny głos. Profil na jednym z portali społecznościowych prezentuje młodego mężczyznę. Biała rozpięta koszula i bogactwo zieleni w tle, szeroki uśmiech i spojrzenie, w którym można się zagubić. Podczas nabożeństwa sprawnie operuje wibracją w głosie, bez trudu przechodząc ze zdecydowania w uduchowioną miękkość. Najczęściej sprawia wrażenie, jakby wciąż poszukiwał uznania i aplauzu. Parafianie nie są obojętni i dzielą się spostrzeżeniami, klikając na komputerze.

- Po parafii chodzi po kołędzie pseudo ksiądz Adam. Zgrywa się na plejboja, nie reprezentuje sobą nic, co kapłan powinien reprezentować. Wpisał się moim dzieciom do zeszytu, nie zważając na to, że mają tam ćwiczenie do wykonania. Ja teraz muszę się dwoić i troić, aby ten zeszyt jakoś wyglądał. Więcej używania rozumu, nie tylko rozmyślania ile kasy uzbieram i jak jestem piękny.

MARCIN

Jest w parafii też ksiądz Marcin, najmłodszy z całej trójki. Najniższy, najgrubszy i z najwyższym piszczącym głosem. Najbardziej rozmodlony. Przy wielu okazjach powtarza tę

samą intencję.

- I prosimy cię Panie o święte życie dla księży z naszej parafii. I opiekę nad naszą wspólnotą.

Trzynastego grudnia Marcinowi przypadło w udziale dzielenie się opłatkiem i znakiem pokoju. W kościele około setka dzieci uczestniczących w roratach. Zmarznięte policzki i kolorowe lampiony wypełniły pierwsze rzędy.

- Kochane dzieci, wiecie, o czym dzisiaj była ewangelia? A wiecie, że dzisiaj jest rocznica trzynastego grudnia, pamiętacie, co wtedy się stało? Nie? Ja też nie. Nie było mnie wtedy na święcie, ale powiem wam, że wtedy komuna wprowadziła stan wojenny. W 1981 roku czołgi były na ulicach. Wiecie, co to była komuna? Ksiądz Adam mówił wcześniej o zaborach. To były też takie zabory, które zrobiła nam komuna, ale tego już dzisiaj nie ma i nie będzie. To dobrze dzieci, że nie ma? Nie słyszycie? To ja wam powiem – dobrze, mówię wam, to bardzo dobrze.

Amen. W temacie komunizmu i przesłania Chrystusowego byłoby na tyle. Lampiony kołyszą się na boki, dzieci zerkają na rodziców i własne zegarki. Kilka dni wcześniej Adam podzielił się własną interpretacją znaczenia klasztoru na Jasnej Górze.

- Dzieci coś wam dzisiaj opowiem. Wszyscy polscy królowie złożyli pokłon obrazowi Czarnej Madonny. Wszyscy z wyjątkiem jednego. Nie byłoby zwycięstwa Jana III Sobieskiego, gdyby nie jego zawierzenie Maryi, nie byłoby cudu nad Wisłą.

A kto pogonił czerwonych? Jak się nazywał? Pił-su-dski – powtórzcie - tak Piłsudski.

A gdyby nie nowenna odprawiana w Częstochowie, nie byłoby zwycięstwa. Więc tylko jeden król nie pokłonił się królowej Polski.

- On pokłonił się innej pannie – carycy – dodał proboszcz

- Tak, carycy Katarzynie się pokłonił - powtórzył Adam. - I jak to się skończyło? Zaborami. Tak, to doprowadziło do zaborów i straciliśmy ojczyznę.

Mężczyzna w czwartej ławie głośno prychnął.

- Proszę nie prycać – starsza kobieta wymownie skarciła go wzrokiem.

- To niech się ksiądz jeden z drugim historii nauczy – odpowiedział - a nie głupoty wygaduje. Dodał pod nosem.

Jak się okazało podczas kolejnych

nabożeństw, spotkania z historią stały się częścią strategii menadżera. Dwa miesiące wcześniej nie wszystko było jeszcze oczywiste. Wierni ciągnęli do świątyni, kościół był jak zawsze przystrojony, księża gotowi do posługi. Trzeciego października, w poniedziałek, od rana padał deszcz. Kałuże tworzyły niewielkie rozlewiska, wiatr potęgował uczucie zimna. Jeden z pierwszych dni, kiedy rękawiczki i ciepła kurtka przypomniły o sobie wystając z szafy.

Przed kościołem młoda Romka z córką na rękach klęcząc, powtarzała bez przerwy:

- Proszę, proszę, Bóg zapłać, proszę, proszę.

W plastikowym kubku czterdzieści groszy. Cienkie rajstopy, podobnie jak letnie buty, zupełnie przemoczone. Czarne kosmyki upiętych z tyłu włosów opadały na ramiona. Wzrok spuszczonego w ziemię. Tylko dziecko ciekawie zerka na przechodzące rodziny i samotnych starców. Za pół godziny ksiądz powie: „Przekażcie sobie znak pokoju”. Głowy się uklonią, ministranci podadzą sobie ręce. Za godzinę wierni wrócą do domów.

Kościół wypełniony w trzech czwartych, nieliczne wolne miejsca zostały tylko na balkonie. Relikwiarze rozświetlone na czerwono, górujący nad wszystkimi ukrzyżowany Chrystus na drewnianym krzyżu. Liturgię odprawił Adam

- Słowa ewangelii według św. Łukasza.

Znak krzyża na wszystkich czołach, ustach i sercach zgromadzonych w kościele.

- [...] Pewien zaś Samarytanin, wędrując, przyszedł również na to miejsce. Gdy go zobaczył, wrzucił się głęboko: podszedł do niego i opatrzył mu rany, zalewając je oliwą i winem; potem wsadził go na swoje bydlę, zawiązał do gospody i pielęgnował go. Następnego zaś dnia wyjął dwa denary, dał gospodarzowi i rzekł: „Miej o nim staranie, a jeśli co więcej wydasz, ja oddam tobie, gdy będę wracał [...]”

Kazanie przypadło w udziale proboszczowi. Piętnaście minut o potrzebach parafii i misjach zagranicznych Salezjanów. Kończąc, dodał:

- Umilowani w Panu, przed kościołem stoją potrzebujący, którzy w imieniu innych zbierają datki. Wychodząc, możecie wrzucić im datek wprost do specjalnej puszkę Caritasu. Potrzeby kościoła świętego są wielkie.

tom



ANARCHITEKTURA

Pomimo obietnicy egalitaryzmu i emancypacji większość projektów modernistycznych wykazywała się brakiem elastyczności i indywidualnych przestrzeni. Powszechny był brak możliwości wpływu na architekturę, protekcyjny stosunek do użytkownika i decyzje podejmowane z urzędniczych biur. To wszystko spowodowało krytykę modernizmu prowadzoną przez środowiska wolnościowe.

Modernizm rozumiany i przedstawiany przez władze jako upragniony postęp, mieszkańcom burzonych podczas procesów odnowy miast, starych kwartałów czy slumsów, kojarzył się jednak nie najlepiej. Już w roku 1930 w Anglii podpisano Housing Act, który z jednej strony zawierał idee rozwoju budownictwa społecznego, a z drugiej postulował oczyszczanie miast ze slumsów. Skutkowało to tym, że w 1934 roku w Anglii blisko 200 tysięcy osób zostało przesiedlonych, w większość ze śródmieścia Londynu na otaczające peryferie. Takie programy prowadzone były także po wojnie, w Europie i Stanach Zjednoczonych, oraz – w latach 50. i 60. – w krajach Globalnego Południa. Wystarczy przytoczyć północnoamerykańską wersję Housing Act z 1949 roku, dzięki której więcej budynków zburzono niż wybudowano. „Oczyszczone z mieszkańców” tereny przeznaczono na autostrady i kompleksy rządowe. Mimo że sama architektura, zwłaszcza w kontekście jakości technicznej zabudowy slumsów, miała niemało atutów, to wiele z ruchów protestu i krytyki modernizmu pojawiło się właśnie jako reakcja na brak dialogu, na brutalnie wprowadzaną nowoczesność, przenoszenie lokalnych wspólnot z centrum w celu uwolnienia pod nowe inwestycje atrakcyjnie położonych działek¹. Dodatkowo, pomimo obietnicy egalitaryzmu i emancypacji większość projektów modernistycznych wykazywała się brakiem elastyczności i indywidu-

alnych przestrzeni. Powszechny był brak możliwości wpływu na architekturę, protekcyjny stosunek do użytkownika i decyzje podejmowane z urzędniczych biur. To wszystko spowodowało krytykę modernizmu prowadzoną przez środowiska wolnościowe.

PRZEDSZKOLA

Ta krytyka nie odbiegała zresztą od krytyki całego systemu polityczno-finansowego i była rozumiana jako jego część. Krytykowano także rolę architekta - jego rolę neutralnego i obiektywnego eksperta, który wprowadza postęp: „we wszystkich epokach, niezależnie od doniosłości swojej funkcji, architekt miał realizować wizję świata tych, którzy dzierżyli władzę. Architekci zawsze potrzebowali pieniędzy, materiałów, ziemi i legitymizacji dla swoich działań. (...) Doświadczenie historyczne uczy, że kiedy tylko elity deklarują swoją neutralność, w tej samej chwili uzależniają się od władzy”².

W związku z tym, że „fundamentem myśli anarchistycznej jest afirmacja ludzkiej podmiotowości”³, to współdecydowanie i emancypacja były od początku podstawowymi terminami w anarchistycznym słowniku pojęć. Już Bakunin uważał, że ograniczanie wpływu ludzi na ich życie odbywa się dzięki temu, że lud jest „uznany za małoletniego, wiecznego ucznia, którego uznaje się za zbyt mało zdolnego, (...) by przyswoił sobie wiedzę swoich nauczycieli

i mógł obejść się bez ich dyscypliny”⁴. Natomiast już na przełomie lat 60. i 70. XX wieku, w odpowiedzi na wielkie projekty modernizmu, sytuacjoniści piórem Attili Kotányiego i Raoula Vaneigema, twierdzili, że nowe osiedla „zarówno na Wschodzie, jak i Zachodzie, nie są niczym innym jak tylko przewiewnymi i pokolorowanymi kindergartens”⁵.

ARCHITEKT AKTYWISTA

Krytyka elitaryzmu i braku partycypacji mieszkańców wiązały się z przyjęciem przez część architektów nowego modelu - w opozycji do tradycyjnej eksperckiej postawy projektowania w zaciszu pracowni postanowili oni dopuścić użytkowników do części procesu projektowania architektury. W tym znaczeniu wiąże się ona z przyjęciem poziomych relacji pomiędzy projektantem a mieszkańcami. Architekt wciąż zajmuje szczególne miejsce, wciąż jest specjalistą, wciąż, jak czasem architekci modernistyczni, zbiera informacje, pyta mieszkańców, ale ich odpowiedzi mają w dużej części charakter decyzji. Architekt ma za zadanie przede wszystkim stymulować proces partycypacji mieszkańców w projektowaniu, a także pogodzić i uporządkować indywidualne ambicje, zamykając je w ramy przepisów prawa, wymagań ergonomii, konstrukcji, technologii i podstawowej funkcjonalności. To stawia go w szczególnej pozycji i zachowuje wciąż spory zakres władzy nad projektem.

ZASADY A NIE FORMA

W swoich poszukiwaniach bogata w detal, różnorodna i indywidualistyczna architektura związana z anarchizmem na pierwszy rzut oka wydaje się spójna z postmodernistycznym, głównym nurtem architektonicznej reakcji na hegemonię modernizmu. Jednak architektura postmodernistyczna, deklarująca posługiwanie się archetypem, zakorzenioną w kulturze i rozumiającą dla wszystkich formą, w rzeczywistości posiadała płytkie i spekulatywne sposoby przywracania architektury szerszym grupom społecznym. Brakowało zarówno poszukiwań technologicznych, organizacyjnych i szerzej – społeczno-ekonomicznych. Brakowało bardziej elastycznej konstrukcji i partycypacji. Była to więc próba powrotu do elitarniej architektury, elitarniej roli architekta i odrzucenia egalitarnej siły modernizmu w myśl zasady: „niech każdy zbuduje sobie własny raj (o ile go na to stać)”. Pomimo że krytyka splotu polityki i architektury/urbanistyki z pozycji wolnościowych rodziła się równoległe do postmodernizmu, wywodziła się jednak z zupełnie innych pozycji. Przede wszystkim kwestia formy architektonicznej miała drugorzędne znaczenie, gdyż miała być ona efektem stosunków społecznych i to one, przejawiając się w procesie projektowania i budowy, były najważniejsze. Tym bardziej że „źródłem anarchistycznej aktywności jest (...) z jednej strony doświadczenie konfliktu między tym, co jest, a tym, co powinno być, z drugiej – przeświadczenie, że owo powinno musi zostać niedookreślone”⁶. Architektura, jej forma, nie posiadała żadnego kanonu, jednak proces tworzenia architektury powinien posiadać określone cechy. Już wspomniani sytuacjoniści pisali: „Konieczne jest wyzwolenie instynktu budowania, dziś powszechnie tłumionego”⁷, a po latach Brian Richardson w anarchistycznym pi-

śmie „The Raven” nawiązując do sławnego zdania Le Corbusiera⁸ pisał: „Architektura jest zbyt istotna, by pozostawić ją architektom (...) Chcemy wprowadzić odpowiednią kontrolę nad własnym życiem, zatem próbujemy uformować przestrzeń wokół tak, by stała się wygodna i piękna. Architekt nie robi tego dla nas, może to zrobić tylko z nami”⁹. Z takim modelem procesu projektowania i budowy wiązała się emancypacyjna siła architektury, kształtowania swojego środowiska według własnych potrzeb i gustów. Gdy Günter Feuerstein pisał, że „kiedy ktoś sam zbuduje dom, wie, jak doszło do jego powstania. Proces produkcji staje się wyobraźalny (...). Nie tylko proces budowania powinien być czytelny, ale również to, jak budynek istnieje, jak jest zamieszkiwany i modyfikowany”¹⁰, de facto powtarzał to, co trzydzieści lat wcześniej na temat rzemieślniczej produkcji mówili tacy architekci jak Gropius i co było podstawą założenia Bauhausu – najsławniejszej szkoły architektonicznej doby modernizmu. Nie dziwi więc, że strategie i problemy anarchistycznej krytyki architektury należałyby sytuować blisko części uczestników ostatniego kongresu CIAM – jak John Habraken czy współpracujący z sytuacjonistami Aldo van Eyck, którzy pozostawali w orbicie wpływów i idei modernizmu. Momentem dzielącym kontestatorów triumfującego modernizmu na wolnościowy nurt architektury z jednej strony oraz postmodernizm z drugiej jest więc pragnienie anarchistów dotyczące spełnienia obietnic wczesnego modernizmu – mimo krytycznych ocen „modernistycznej praktyki” – i nadzieje związane ze świadomością społecznego znaczenia procesu tworzenia architektury i zamieszkiwania. Ten nurt architektury związany nie ze stylem, a z pryncypiami, z metodą projektowania, oparł się postmodernistycznemu formalizmowi, komercjalizacji i regresji idei.

MG



Akademiki w Brukseli



Osiedle mieszkalne w Londynie

¹ Jane Jacobs, Śmierć i życie wielkich miast Ameryki, Fundacja Centrum Architektury, Warszawa 2014

² Giancarlo De Carlo, Odbiorcy architektury, [w:] Zawód architekt: Warszawa w budowie, MSN, Warszawa 2013

³ Piotr Laskowski, Szkice z dziejów anarchizmu, Muza, Warszawa 2006, s.35

⁴ Michał Bakunin, Pisma Wybrane, vol. 2., Książka i Wiedza, Warszawa 1965, s.92

⁵ Attila Kotányi, Raoul Vaneigem, Wstępny program Biura Urbanistyki Jednościowej, [w:] Paweł Krzaczkowski, Mateusz Kwaterko, Przewodnik dla drufujących, bęc zmiana, Warszawa 2015, s.310

⁶ Piotr Laskowski, dz. cyt., s.62

⁷ Krytyka urbanistyki, [w:] Paweł Krzaczkowski, Mateusz Kwaterko (red.), dz. cyt., s.305

⁸ „Projektowanie miast jest zajęciem zbyt ważnym, by pozostawić je mieszkańcom”

⁹ Brian Richardson, Architecture for All, „Raven” 1988, 6, s.146

¹⁰ Günter Feuerstein. Tezy na temat architektury incydentalnej, [w:] Paweł Krzaczkowski, Mateusz Kwaterko (red.)

SYTUACJA PRACOWNIKÓW GASTRONOMII

WYWIAD Z DZIAŁACZEM OZZ INICJATYWA PRACOWNICZA



Jak doszło do powołania komisji gastro-nomicznej IP?

Pomysł powołania komisji narodził się po konflikcie w „Krowarzywa”, gdzie w reakcji na założenie związku zawodowego na terenie zakładu właściciele próbowali zwolnić całą załogę i dokonać lokautu. Tamta sprawa nabrała mocno wymiaru towarzyskiego, o co na pewno chodziło właścicielom, którzy próbowali grać na tym, że wywodzą się z tego samego środowiska, co zwolnione osoby. Przez pewien czas w Poznaniu brakowało impulsu do założenia komisji, mimo iż odbyło się spotkanie z warszawską Komisją Pracujących w Gastronomii. Później były kolejne spotkania z byłymi pracownikami warszawskiej burgeois, przybliżającymi sytuację, która zaczęła obrastać mitami. Ostatecznie ich sprawy skończyły się w sądzie pracy. Impulsem do zawiązania komisji w Poznaniu był konflikt, jaki zrodził się w jednej ze znanych poznańskich knajp wegańskich. Nie przybrał on tak dużego charakteru, jak w „Krowarzywej”. Wtedy to, w porozumieniu z pracownikami innej knajpy, założyliśmy Poznańską Komisję

Pracujących w Gastronomii w ramach związku zawodowego Inicjatywa Pracownicza. Do związku przystąpiła połowa pracowników skonfliktowanej restauracji, co czyniło ją dość reprezentatywną. Po kilku zebraniach z właścicielkami restauracji udało się osiągnąć porozumienie, które, jak się wówczas wydawało, satysfakcjonowało obydwie strony. Pracownicy uzyskali obietnice spełnienia swoich postulatów, a właścicielki ugodę z pracownikami i przewietrzenie atmosfery, która zagęszczała się od dłuższego czasu.

Jakie są według Ciebie główne problemy pracowników i pracownic w tej branży?

Głównym wyzwaniem w gastronomii jest tymczasowość. Trudno kogoś przekonać do walki o poprawę swojego położenia, jeżeli każdy jest tam na chwilę. Nawet jeśli tak nie jest, to i tak pracownik zwykle twierdzi, że jest, tkwiąc w tej tymczasowości nawet kilka lat. Pracodawcy często powtarzają, że „gastro nomia rządzi się swoimi prawami”. Tak w rzeczywistości jest. Stawka godzinowa jest bardzo niska, a tłumaczone jest to tym,

„że przecież są napiwki”, które i tak pracodawcy często sami zabierają. Warunki pracy i BHP pozostawiają wiele do życzenia. Rzadko można spotkać knajpy oferujące umowę o pracę, a szczególnie umowę, na której wykazany jest rzeczywisty dochód i czas pracy. Przeważają umowy zlecenie przedłużane w nieskończoność. Często jest także praca bez jakiegokolwiek umowy i ubezpieczenia. To wszystko składa się na to, że aby móc się utrzymać, trzeba pracować często po 300 godzin miesięcznie, bez dodatkowo płatnych nadgodzin, urlopów, a nawet chorobowego. W tej branży nie jest wskazane chorowanie.

Powiedziałeś wcześniej, że w „Krowarzywa” doszło do konfliktu między związkiem i pracodawcą. Jak pracodawcy w gastronomii reagują na związki zawodowe?

Pracodawcy na informacje, że na terenie zakładu działa związek zawodowy, reagują przeważnie alergicznie, próbując za wszelką cenę dowiedzieć się, kto należy do związku, często strasząc konsekwencjami. U nas w zakładzie pracodawca był zaskoczony, mimo że infor-

macja o istnieniu związku była przekazana już w momencie, kiedy trwał konflikt. Podobnie było w „Krowarzywa”. Musimy pamiętać, iż związek nie był przyczyną konfliktu, lecz raczej jego konsekwencją. Kiedy pracownicy solidarnie stoją po jednej stronie, pracodawcy nie mają zbyt wielkiego pola do manewru. Początkowo założenie komisji w Poznaniu, w połączeniu z wieloma rozmowami, rokowało bardzo dobrze. Stosunki z pracodawcami poprawiły się. Wszystko co działo się na zakładzie, wszelkie działania, konsultowane było z przedstawicielami związku. Sprawy szły - jak się nam wydawało - w dobrą stronę.

Jaki był powód, że pracodawca ostatecznie chciał Ciebie, jako działacza związkowego, i jeszcze jedną osobę, zwolnić z pracy?

WYZWOLENIE GASTRONOMII SPOD EKONOMICZNEJ NIEWOLI

W ostatnich latach pewna część środowiska ekologicznego, czy też alternatywnego, podejmuje próby rozkręcania interesów gastronomicznych. Próby te przyjmują postać zakładania lokali oferujących posiłki wegańskie. Tą drogą alternatywne idee, wzorce kultury i praktyki zaczynają przybierać formę towarową. Proces utowarowienia polega w tym wypadku na powiązaniu względnie oryginalnego czy egzotycznego wegetariańskiego menu, z ideą ochrony przyrody i z symboliką odwołującą się do spuścizny ruchów ekologicznych. Towar, który łączy ze sobą owe elementy, wytwarzają pracownicy lokalu, a zysk osiągnięty dzięki jego sprzedaży zagarnia ich szef. Prowadząc swój interes, czerpie on z historycznych doświadczeń walk ekologicznych i ich kreatywności, lecz jego podstawowym celem nie jest rozwój ruchu ekologicznego ani walka o prawa zwierząt i związana z nią zmiana panujących stosunków społecznych. Tutaj walka toczy się o osiągnięcie dodatniego wyniku finansowego prywatnej firmy. Właściciele gastronomii ekologicznej i weganizm sprowadzają więc do formy towaru, który sprzedają w celu maksymalizacji zysku.

Zdarza się, że wegański biznes nawiązuje do etosu ruchu ekologicznego i podtrzymuje z nim związki poprzez finansowe wspieranie określonych grup działaczy i eksponowanie używanej przez nie symboliki. Wraz z udzieleniem takiego wsparcia lokal na różne sposoby informuje o tym swoich klientów, co potencjalnie może wywołać wrażenie, że jest on niejako częścią szerszego

ruchu społecznego. Podobne zabiegi służą po pierwsze przywiązaniu starych i zdobyciu nowych klientów, którzy będą skłonni zapłacić więcej za oferowany towar, gdyż zyskają poczucie, że dzięki temu działają na rzecz „wyższej sprawy”. Po drugie, wspieranie przez lokal „wyższej sprawy” o charakterze ekologicznym, ułatwia jego właścicielowi pomniejszenie znaczenia sprawy pracowniczej. Dzieje się tak, gdy pomoc udzieloną określonej grupie ekologicznej wykorzystuje on do przysłonięcia praktyki pogarszania warunków pracy zatrudnionych przez siebie pracowników. Środki finansowe, które zostały przez nich wypracowane i w pierwszej kolejności powinny trafić do nich samych, wpływają do zewnętrznej grupy ekologicznej, która jednocześnie zostaje wpisana w ramy kampanii marketingowej konkretnego lokalu. Bywa więc, że zagarnięcie przez właścicieli firm owoców pracy kucharzy/ek, kelnerów/ek i kasjerów/ek odbywa się z pomocą niektórych organizacji ekologicznych. Ich rola sprowadza się wtedy do ocieplania wizerunku branży, która, jak powszechnie wiadomo, nie jest szczególnie przyjazna dla osób w niej pracujących.

Sięganie do dorobku ruchu ekologicznego celem wzmocnienia wycisku pracowników, idzie w parze z wykorzystywaniem przez biznes stosunków koleżeńskich, na których tenże ruch się opiera. Owe stosunki są często budowane w kontrze do powszechnie panujących stosunków ekonomicznych. Ich podłożem są wspólne działania, zorientowane na ochronę środowiska,

a nie na maksymalizację zysku. Tego rodzaju stosunki współpracy w zetknięciu z biznesem gastronomicznym tracą jednak swój postępowy potencjał. Koleżeństwo zakładające brak wzajemnej nierówności we wspólnie podejmowanych działaniach, zostaje zastąpione zakładową hierarchią. Zysk osiągnięty przez właściciela uzależniony jest od stopnia wycisku zatrudnionych, walka o wyzwolenie zwierząt nie ma tu nic do rzeczy. Jeżeli o organizacji pracy i podziale jej wytworów nie decydują pracownicy, odwoływanie się do koleżeństwa jest tylko jedną z metod wyciskania z nich pracy dodatkowej. Jeżeli część wytworów twojej codziennej pracy przywłaszcza ktoś inny, to w takim wypadku nie ma mowy o koleżeństwie. Pomiędzy wyciskiwaniem i wyciskującymi w gastronomii panuje więc nierówność, której utwierdzenie pociąga za sobą rozkład kultury alternatywnej.

Zeszłoroczny strajk pracowników wegetariańskiego baru Krowarzywa w Warszawie, stał się przyczynkiem do dyskusji i działań, dzięki którym powstała Poznańska Międzyzakładowa Komisja Pracujących w Gastronomii przy Ogólnopolskim Związku Zawodowym Inicjatywa Pracownicza. Powyżej publikujemy wywiad z działaczem tej komisji pracującym w poznańskim barze Wypas, którego właścicielki, podobnie do szefostwa baru Krowarzywa, sięgają do wspólnego dorobku środowiska alternatywnego po to, aby przekuć go w swój indywidualny zysk.

KK

„SOLIDARNOŚĆ” – TYLKO Z NAZWY LIST OD CZYTELNIA

Po kilku latach uważnego obserwowania konfliktów pracowniczych mogę coś doradzić wszystkim pracującym: Organizujcie się, ale najlepiej z dala od „Solidarności”.

3 lata temu pracowałem w dużej, bardzo dobrze radzącej sobie firmie, produkującej elementy wykończeniowe dla budownictwa. Zatrudniała 1,2 tys. osób, z czego ok. 1 tys. na produkcji. Założyli związek zawodowy – przystąpiła do niego od razu 1/3 załogi produkcyjnej. Jak pisali na stronie komisji: „W ciągu poprzedniego roku przyjęto wiele niekorzystnych dla nas – a po części także dla firmy – decyzji: - wydłużenie okresu rozliczeniowego czasu pracy, - usunięcie rozwiązań pozwalających osiągnąć wysokie wynagrodzenie w nadgodzinach, - podniesiono normy, co spowodowało realny spadek ruchomych części wynagrodzeń.

Nałożyły się na to błędy w organizacji pracy, przez które bywa, że robotnik musi pracować ciągiem przez 2 tygodnie bez dnia przerwy. [..]

Chcemy, by zarządzanie – przede wszystkim produkcją – było rozsądne i pozwalało nam na od-

powiedni zarobek i normalne życie poza pracą.” Zarząd firmy zareagował agresywnie, a zarazem historycznie. Pracownikom podtykano oświadczenia wystąpienia ze związku. Prezes miał emocjonalną przemowę, gęsto przetykaną „kurwami” („Tak samo jak w 1980” – skomentowała moja matka). Widać było, że robotnicy mają przewagę. Załoga postanowiła przyłączyć się do jakiejś centrali – padło na teoretycznie najsilniejszą „Solidarność”. I to był gruby błąd.

Mądrale z władz regionu doradzali spokój i łagodność. Zaczęli mediować – czyli rozmawiać z zarządem. Załoga przestała być podmiotem negocjacji. Działacze obiecali pikietę solidarnościową – autobusy pełne związkowych towarzyszy. Robotnicy bardzo na to liczyli. Szeptem rozeszła się wiadomość o dacie demonstracji. Tego dnia oczywiście żadne autobusy do naszej specjalnej strefy ekonomicznej nie dojechały. Duch upadł – widać było, jak z godziny na godzinę zmienia się wyraz twarzy współpracowników. Ludzie zaczęli podpisywać deklarację wystąpienia z „S”.

Nie minęły 4 miesiące od pierwszego do ostatniego zebrania komisji. Związek nie wywalczył kompletnie nic. Reprezentantów załogi zwolniono. Potem zaczął się powolny proces zastępowania etatów agencjami pracy tymczasowej.

Nieco później, działając w Inicjatywie Pracowniczej, podejmowałem z towarzyszkami akcje solidarności (od małej litery i bez cudzo-słowa) ze szwaczkami z myślenickiego Trend Fashion, zrzeszonymi w tzw. „Solidarności”. Ich wielomiesięczna walka trwała właściwie bez echa na zewnątrz zakładu. Dopiero kiedy włączyliśmy się skromniutki siłami, uzyskując jakiś oddźwięk w mediach, region „S” zareagował i zorganizował pikietę. To było wszystko ze strony najsilniejszej, półmilionowej centrali związkowej. Staliśmy u boku szwaczek do czasu, gdy konflikt zakończył się 50-złotowymi (!) podwyżkami i faktycznym lokautem (zamknięcie jednej spółki, zatrudnienie pracowników w nowej, co automatycznie rozwiązywało związkową komisję zakładową).

Dlaczego piszę o tym teraz?

Po rozłamowych, jawnie antypracowniczych działaniach „Solidarności” w Teatrze Polskim we Wrocławiu oraz bezczelnym pokazywaniu pracownikom Poczty Polskiej, „gdzie ich miejsce”, zauważyłem, że wszystkie te przypadki łączy jedno: mniej lub bardziej ukryty kierunek działań władz „Solidarności”. Od wyciszenia konfliktu po jawne opowiedzenie się po jednej stronie – zawsze jest to strona pracodawcy. Pracownikowi, pracownico – ostrzegam, nie idź do „Solidarności”.

Czytelnik



Graffiti na murze w centrum Poznania

W pewnym momencie pracodawcę zmęczyło to, że pewne rzeczy trzeba konsultować ze związkiem, że związek monitoruje sytuację na zakładzie, przestrzeganie prawa pracy. Przykładowo, wielokrotnie pytałem współpracowników, czy mają odpowiednio płacone nadgodziny, bo wcześniej był z tym duży problem. Niewygodne było również to, że osoby zrzeszone w komisji były znacznie bardziej świadome swoich praw i nie dało się ich wykorzystywać do wielu rzeczy – takich jak notoryczne wymuszanie wyrobienia nadgodzin, czy nawet unikanie przyjęcia i respektowania grafiku przynajmniej z siedmiodniowym wyprzedzeniem.

To wydaje się absurdem, bo grafiki powinny być przynajmniej miesięczne i roczne... Zgadza się. Zdarzały się też błędne wyliczenia rachunków. Zwolniono jedną z nowych pracownic tylko dlatego, że w jej imieniu interweniowała komisja. Zwróciliśmy uwagę, że po 8 dniach pracy nie ma nadal żadnej umowy. Po interwencji otrzymała umowę na kilka dni, która później nie została przedłużona. Tłumaczono to tym, że dziewczyna jest za słaba! Związek czuwał i interweniował. Dysponujemy różnymi pismami, które otrzymał pracodawca. W międzyczasie odeszło z pracy parę osób z komisji (w zakładach gastronomicznych rotacja jest bardzo duża), co zachęciło szefo-

stwo do szukania haków na pozostałych członków, głównie na mnie, jako na chronionego członka prezydium komisji. Pewnego dnia po jednym z comiesięcznych zebrań, które były jednym z efektów ustaleń podczas poprzedniego konfliktu, otrzymaliśmy pismo adresowane do związku o zamiarze dyscyplinarnego zwolnienia dwojga członków IP. Jako powód został podany fakt, że ktoś zgłosił, iż na słoiku z otrzymanym deserem, została naklejona naklejka grupy „Poznaniacy Przeciwno Myśliwym”, a deser miał mieć nietypowy zapach, jakby wlana była do niego woda po ogórkach. Stało się to w godzinach naszej pracy. Jak się okazało, była to żona myśliwego, której to się nie spodobało. Co znamienne, naklejki te były wcześniej kolportowane wśród klientów restauracji bez sprzeciwu jej właścicielki. Wiadomo - znaczna część wegańskich klientów nie sympatyzuje z myśliwymi. Każdy też mógł sobie taką naklejkę pobrać. Skąd się wzięła sprawa „wody po ogórkach”? Nie wiem. Spekulowano, że przyczyna mogła tkwić w niedomytej zakrętce od stoika, wcześniej użytej w innym celu. Należy zaznaczyć, że na tamten moment ze wszystkich osób zatrudnionych (oprócz nas, co do których zgłoszono zamiar zwolnienia), była jeszcze tylko jedna osoba ze związku, przebywająca na zwolnieniu chorobowym. Reszta zwolniła się sama. Oczywiście przedstawiony zamiar zwolnienia był bezzasadny

i związek stanowczo nie zgodził się na zwolnienia. Po otrzymaniu stanowiska związku szefowe odstąpiły od zwolnienia nas i przystąpiły do namawiania na dobrowolne odejście.

Jak doszło do Twojej ugody i dlaczego się na nią zdecydowałeś?

Po wyczerpaniu w/w procedury nadal chodziliśmy do pracy, wykonując ją jak najlepiej, nie dając powodów do kolejnych represji. Sytuacja ta nie była na rękę pracodawcy, więc cały czas naciskał, abyśmy oboje, ja i koleżanka, odeszli dobrowolnie. Na różne sposoby starano się nas do tego przekonać. W końcu analizując położenie komisji na zakładzie i fakt „specjalnego traktowania”, podjęliśmy decyzję, że zawrzemy ugodę z pracodawcą. Ja odeszedłem po wypłacie, jak to określiły właścicielki, dwumiesięcznej odprawy. Natomiast przebywająca w tym czasie na zwolnieniu chorobowym koleżanka, nie dostała póki co takiej możliwości (jako że nie miała ochrony związkowej, nie została potraktowana tak jak ja). Gdy była na zwolnieniu jako, związek utraciliśmy z nią kontakt i sądziliśmy, że już do pracy nie wróci. Po jej powrocie pracodawca stwierdził, że ma sama odejść, za porozumieniem stron. Sugerowano też, że mam się z nią podzielić swoją wynegocjowaną odprawą! Reakcja pracownicy była taka, że postanowiła zostać w pracy ze względu na swoją

sytuację finansową. Nie jest to dla niej komfortowe rozwiązanie, biorąc pod uwagę postawę właścicielki. Ta sprawa cały czas nie jest zamknięta dla nas jako związku i czekamy, co wydarzy się w najbliższym czasie.

Czy widzisz jakąś szansę na dalsze działania w branży gastronomicznej po tych w sumie negatywnych doświadczeniach?

Choć mamy tu o wiele więcej przykładów łamania praw pracowniczych niż w innych branżach, „restauratorzy” zapominają o istnieniu Kodeksu pracy, nie jest to więc „łatwy teren”. Głównie właśnie ze względu na dużą rotację, tymczasowość i często brak świadomości swoich praw wśród pracowników/czek - stosunkowo młodych osób, dopiero wkraczających na rynek pracy. Mamy zamiar kontynuować działalność komisji i doprowadzić do poprawy warunków pracy w gastronomii. Do tego potrzebny jest związek. Ostatnio dotarli do nas informacje, że następują próby cofnięcia wynegocjowanych wcześniej zmian w zakładzie, w którym pracowałem. To doprowadzi moim zdaniem do ponownego konfliktu. Mamy obecnie członków i członkinie w kilku knajpach na terenie miasta i zamierzamy cały czas zwiększać swoją liczebność. Zapraszamy do wstępowania do związku!

adres email: komisja.gastro@gmail.com

COSALCOLA PRODUKT EKSKLUZYWNY

Przedstawiamy wywiad z Jerzym Kosałką, artystą związanym z legendarną, anarchizującą grupą Luxus z Wrocławia. Wywiad zrealizowany przy okazji wystawy w Klubie Anarchistycznym „Zemsta”. Praca Kosałki pt. „jebać rząd” w ekspozycji stałej.

W swojej twórczości jesteś przekorny. Może nawet anarchiczny?

Moja sztuka jest przekorna, bo ja jestem przekorny. Staram się by to, co robię, odzwierciedlało mój stosunek do tego, co się dzieje. I jeśli ktoś uważa, że jestem przekorny, to znaczy, że jestem prawdziwy. Czytałem w recenzji, że to, co robię, to sztuka anarchistyczna. Nie ukrywam, że łaskocze to moje ego. Ale myślę, że „prawdziwa sztuka anarchistyczna” jest gdzie indziej. Przede wszystkim nie ma jej w galeriach. Dlatego jeśli uprawiam sztukę anarchistyczną, to sztukę anarchistyczną salonową. Mimo wszystko jest to bezpieczne, zaakceptowane społecznie. Jestem w tych galeriach obserwowany. Może nie przez rynek sztuki, ale przez jakieś tam salonowe środowisko. Ja sztukę anarchistyczną wyobrażam sobie inaczej - nie może być ona tak teoretyczna jak moja. Bo ja wystawiam sobie jakieś tam traktaciki w galeriach. Może o anarchii, może i rewolucji, może i o buncie, ale to wszystko to tylko traktaciki. A uważam, że sztuką anarchistyczną należy nazywać taką, która ma jakieś realne przełożenie. Która coś radykalnie zmienia - w kontekście fizycznym. To mogą być performerzy, którzy coś wysadzają w powietrze. O, to jest dla mnie ideał sztuki anarchistycznej. A ja, niestety, jestem już ciapiem salonowcem.

W swojej twórczości odnosisz się często do „polskości”. Praca „Polska złot”, jak dla mnie, jest infantylna, ale przekonuje większość galernianych bywalców. Czy artysta dziś nie gubi się w trywializacji świata? Nie znajduje zastępczych tematów wpisujących się w potrzeby salonów, stając się dzięki temu bohaterem celebrowanym za uniwersalizm?

Sztuka uniwersalna, o której mówisz, jest w cenie, bo jako najczęściej abstrakcyjny twór, jest ideowo i politycznie bezpieczna. Dlatego tak chętnie jest przez artystów produkowana, przez galerników wystawiana, a przez kolekcjonerów kupowana. Wielu artystów uważa, że sztuka jest z gruntu elitarna i zbyt „wzniosła”, aby zajmować się, na przykład, problemami społecznymi. Do tego trzeba szczególnej wrażliwości, a nie wiem, czy ja taką mam. Ale imponuje mi postawa Rafała Jakubowicza, który powiedział ostatnio, że coraz bardziej odchodzi od sztuki w galeriach na rzecz praktycznego, społecznego aktywizmu.

Co do mojej „polskości”, to, oczywiście, jestem artystą czerpiącym inspirację z realu, a moja ojczyzna i rodacy to ciekawy, poruszający temat.

Nie dziwi mnie twoja opinia o „Polskiej Żółci”, bo słyszałem, że jest ona wręcz prostacka czy pry-

mitywnym żartem – ok, ale sprytnie mogą się wytłumaczyć. W takiej formie trafia do większego grona niż praca wyrafinowana intelektualnie. Taki artystyczny populizm. Jest to ironiczne, proste dzieło o prostych emocjach u prostych ludzi. Forma zgodna z treścią. Ta praca to część większego cyklu pt. „Tabloid – Art”. Pomysł polega na tym, aby zastosować w sztuce strategię tabloidu, bo skoro wszystko się tabloizuje, to dlaczego nie sztuka. Więc chodzi o to, aby szybko i prosto, a wręcz prymitywnie, uderzyć w czerep odbiorcy tak, jak to robią tabloidy. Taki artystyczny eksperyment. Mogę sobie pozwolić na te wybrki, bo nie mam nad sobą żadnej galerii czy marszanda, który by mnie pilnował, dbając o „poziom” mojej sztuki. Więc w założeniu miała to być anarchia sztuki, ale okazało się, że praca ta przekonuje większość galernianych bywalców. Mało tego, została zakupiona do kolekcji szacownego Muzeum Sztuki Współczesnej, więc tak wyszło, że sprzedałem swoją anarchię (i siebie) za 15 tysięcy złotych i w ten sposób nabrała ona statusu sztuki wartościowej. Wcześniej ta praca nie była ceniona przez społeczeństwo.

Wystawienie „Polskiej Żółci” u was też mi coś tam dało do myślenia. Rozwinęło mnie. Jako specjaliści wetknęliście w te butelki tkaninę z transparentu użytego w obronie Te-

atru 8 Dnia, natomiast podczas wystawy w Toruniu, kurator Kazimierz Piotrowski, włożył w nie kawałki gazety z Gazety Polskiej.

Jak to jest z tą coca-colą? „Cudowna przemiana” i „CosalCola” to tylko dwie z prac, które w Zemście pokazałeś. Masz ich więcej. Czy ta cola to jakiś twój fetysz? Skąd się to wzięło?

Do tej fascynacji, w gruncie rzeczy, zmusił mnie rynek sztuki. Pierwszą z instalacji zrobiłem w 1986 r., głęboki PRL. Polska jest podzielona na dwie części. W jednej dominuje coca-cola, w drugiej pepsi-cola. Produkt ekskluzywny. Ja uwielbiałem coca-colę i zrobiłem to z uwielbienia dla niej. Przy okazji zauważyłem, że moje nazwisko świetnie wpisuje się w tę nazwę i wystawiłem to na jakiejś wystawie Luxus. Ta praca przepadła gdzieś tam. Na nowo pojawiła się po '89 roku. Kapitalizm dał jej inny kontekst. Przyszły lata 90. i zaczęto mocno grzebać w Luxusie i znaleziono ten mój znak, zaczęto przypominać mi i zmuszać do przypomnienia. Więc ja sobie gdzieś, na własny użytek, to uprawiałem. No i przy każdej wystawie gdzieś się to zaczęło pojawiać.

To bardzo ciekawie naświetla nam, kim był artysta, a właściwie: kim byłeś ty i twoja twórczość w realnym socjalizmie, a czym ta sama osoba i sztuka staje się dziś, w kapitalizmie.

Tak, dokładnie. Kazimierz Piotrowski zaprosił mnie do takiego projektu „inkorporejtet” i tam nazwał mnie antyglobalistą. Napisałem mu, że to znacznie bardziej skomplikowane. A on na to, że się nie znam.

Czytałeś Naomi Klein? Ona opowiada o identyfikacji wizualnej jako formie zniewolenia mającej na celu jedynie pomnażanie zysku. Jest mnóstwo strategii reklamowych lansujących produkt, markę. Nie obawiasz się, że naiwnie uczestniczysz w tym? A może dostajesz za to hajs (śmiech)?

Przede wszystkim to marzę, by Coca-Cola wreszcie mnie odnalazła. Ale, niestety, oni chyba gardzą moją sztuką. To jest trochę opowieść o tym, jak stałem się ofiarą. Bo się czuję ofiarą. Ot, „utopienny” projekt. Sława i pieniądze. Ok, wystarczą tylko pieniądze, a może odwrotnie. Ja miałem koncepcję, jak wykorzystać tego wielkiego molocha do swoich potrzeb. Chciałem, jak wy to mówicie - zaskłotować koncern. Utopia, ale zastanawiałem się, jak włamać się w system, jak podmienić pliki, konsekwencją czego byłoby produkowanie CosalColi. Piłbyś coca-colę i nie wiedziałbyś, skąd znasz Kosałkę. Utopienny, anarchistyczny projekt.

Ale to w kontekście CosalColi, bo w Zemście pokazałem jeszcze „Cud przemiany”, a to ma jeszcze dodatkowe tło, po-

COSALCOLA

nowicie, w latach 90., w którymś z waszych supermarketów, otworzono kaplice. No i nagle okazało się, że kościół jest w XXI w. ze swoimi pomysłami. Spowiedzi przez internet, kościół w markecie... sacrum profanum, profanum sacrum. Jedni wykorzystują strategię rynkową, a drudzy odwrotnie, wykorzystując, na przykład, świętego Mikołaja.

Tak sobie tylko myślę, że Libera i Jakubowicz mieli raczej przerabane z Lego i Volkswagensem. Coca-Cola ciebie raczej nie ściga?

Robię, co mogę, żeby tak się stało! Przecież z prawnego punktu widzenia, to jestem bezczelnym złodziejem, bo kupuje ich produkt w postaci pełnej butelki, naklejam własną naklejkę, a następnie proponuję kupno tej samej butelki, dodając dwa zera. Ale to jest mini(mikro)ekonomia, którą się taki koncert nie interesuje, bo nie zagrażam ich globalnemu interesowi. Libera i Jakubowicz naruszyli wizerunki koncernów, co może wpływać na zyski i powodować kolosalnie większe straty niż mój detaliczny interes. Zresztą, zarząd koncernu Volkswagena, domagając się cenzury wystawy Arbeitsdisziplin, strzelił sobie w stopę, bo w sumie jej skutek był taki, że wyszli na ćwoki i ignorantów sztuki współczesnej, promując przy tym debiutującego, młodego artystę. Protestowało całe środowisko, co było wtedy bardzo budujące, ale wkrótce okazało się, że bardzo obłudne. Bo gdy Rafałowi ocenowano jeden z kolejnych projektów, pozostał sam. Miała to być wystawa w Zamku Ujazdowskim i miała mieć charakter krytyczny wo-

bec galerii Foksal, więc ta galeria doprowadziła do tego, że wystawy nie otwarto. Wtedy nikt z artystów w obronie Rafała dupy nie ruszył, bo Foksal to była wtedy w kraju najbardziej prestiżowa galeria, gdzie każdy chciał mieć wystawę. Natomiast firma Lego w końcu dała spokój Liberze, bo to już była afera międzynarodowa i szybko się zorientowali, że więcej stracą na wizerunku niż zyskają walcząc w ten sposób o swoje prawa autorskie. Zresztą, w ostatnich czasach coraz trudniej jest wygrać korporacjom procesy o zniesławienie. McDonald's przegrał z twórcami przeróbek Mcdollars czy McMurders, a Greenpeace został uniewinniony za propagowanie loga Esso z użyciem hitlerowskich liter SS. Natomiast mój koncert jest najwyraźniej mądrzejszy i nie chce uczynić mnie sławnym i - co za tym idzie - bogatym. A szkoda.

„Bio-art”. Ta praca dla mnie jest czymś, co zaklina/odklina rzeczywistość. Wielowymiarowość „Bio-artu” wywała korki. Jak pierwszy raz pojawiłeś się w Zemście, powiedziałeś, że się nie spodziewałeś takiego charakteru „anarchistycznego lokalu”. Czy „Bio-art” działałby w innej przestrzeni lepiej?

Tak, to prawda. Jak się pojawiłem w Poznaniu i wszedłem do bramy, pomyślałem: no, jestem w domu. Kiedy jednak trzy schodki wyżej otworzyłem drzwi, znalazłem się w innym świecie. Trochę to łamię standard skojarzeniowy o tym, co jest anarchistyczne.

Wracając jednak do „Bio-artu”: ja nie zakładałem przy tej pracy jakiejś idei. Ta praca mi po prostu wyszła. Nie wiem, czy tego gdzieś

nie podpatrzyłem. Uwielbiam te wszystkie chińskie zabawki.

To jest przede wszystkim tanie. Ja mam cały czas takie myślenie artysty z PRL-u. Kupić jak najwięcej, jak najtaniej. Ta cała ironia pojawiła się później.

Wiesz, ja się zastanawiałem, na ile ta praca nie jest polemiką z tymi wszystkimi dzisiejszymi modami na wszczenie roślinom innych roślin i wpuszczaniu płynów, które zabarwiają je na inny kolor. Mam poczucie, że jest to znowu kolejna artystyczna bufonada...

No, w konsekwencji trochę tak. Ale tak jak mówiłem, pierwotnie to była praca, która nie miała głębszej idei. Ja się przyglądam dziś tym wszystkim działaniom. Byłem jakiś czas temu na wystawie Stelarcza, który sobie wszczepił ucho w ramię. No, i chodzi z tym uchem. Może coś w tym jest, ale można na to popatrzeć też z perspektywy pieniędzy, jakie zostały w to zaangażowane.

To pieniądze korporacyjne, nie oszukujmy się.

Sztuka zaprzęgnięta do kreowania mody, na której zarabiają producenci technologii.

A co z przekornością instalacji wodno-elektrycznej? My ją trochę wykorzystaliśmy jako kluczową w kontekście odpowiedzi na dziejące się w Starym Browarze wystawy instalacji artystycznych.

Ha, ha! Tak, to jest ta sama idea. Powrót do korzeni - prostota i prymitywizm, a też coś niesie. Tak, jakoś udaje mi się to dotykać. Instalacja rudymenarna.

GWARANCJA DOCHODU

LEWICOWA CZY PROKAPITALISTYCZNA?

Gwarantowany dochód podstawowy (GDP) jest jednym z niewielu pomysłów z dziedziny ekonomii, który łączy ideologicznie dzisiejszą – nawet nominalnie – „radyczną” lewicę ze zwolennikami kapitalizmu. Co zaskakujące, pomysł po obu stronach wykorzystuje te same argumenty (walka z szeroko rozumianą biedą, mającą niedługo nadejść z powodu globalnej automatyzacji miejsc pracy), jak i też obala te same „kontrargumenty”, sprowadzające się do tezy: „Wtedy ludzie nie będą chcieli pracować”. Jest to o tyle ważne, że z tym „kontrargumentem” spotykam się tylko ze strony zwolenników GDP, kiedy próbują od razu wdać się w „polemikę” z samym sobą, w której to, rzecz jasna, idea GDP „wygrywa”.

O samym GDP krótko: ma to polegać na tym, że każdy obywatel państwa, w którym to rozwiązanie zostanie wprowadzone, będzie otrzymywał wystarczającą na przeżycie pensję. Bezwarunkowo, niezależnie od tego, czy pracuje, czy nie. Wszelkie szczegóły to „kwestia do dyskusji” – tu propagatorzy GDP mogą się różnić w poglądach, łączy ich jednak zamiłowanie do pomysłu samego w sobie.

BRZMI UTOPIJNIE?

Niekoniecznie takie jest. Już sam fakt, że za GDP opowiadają się Guy Standing czy Rafał Woś, ale również centroprawicowa (!) koalicja rządząca w Finlandii, zaś historycznie propagatorem tej idei był nie kto inny jak Milton Friedman, powinno u moich znajomych o lewicowych poglądach zapalić czerwoną lampkę w głowie. Jednak nie zapala – często w odpowiedzi na ten zarzut słyszę, że dochód gwarantowany propagowany przez lewicę „ma wyglądać zupełnie inaczej”. Czyli jak? Tego już nie wiadomo – moi oponenci w dyskusjach najczęściej bronili się hasłem: „GDP nie jest zamiennikiem socjału”. Tylko niewiele z tego hasła wynika w kontekście podstawowych problemów – bowiem GDP nie jest też i nie będzie zamiennikiem pracy najmniejszej.

Głównym problemem z GDP z punktu widzenia lewicy jest to, że nie stoi on w sprzeczności z ideami Konsensusu Waszyngtońskiego, czyli podstawy ideologicznej dla obecnego neoliberalnego globalizmu. Więcej – dla neoliberalizmu, a konkretnie dla przedsiębiorców w warunkach neoliberalizmu, GDP jest jak manna z nieba. Za pomocą tej „prostej technicznie” reformy (czyli po prostu rozdawnictwa pieniędzy) kapitaliści otrzymują jak na zawołanie klasę „konsumentów”, żyjącą z dochodu zagwarantowanego przez państwo, funkcjonującą oddzielnie od klasy „pracowników”, których można postrzaszyć automatyzacją. W tym zaś wszystkim właściwie brak miejsca np. dla związków zawodowych.

Niech ten problem zobrazuje zmyślona anegdota: wyobraźmy sobie sklep, którego to pracownicy domagają się lepszych warunków w pracy, godnych pensji i ogólnego polepszenia jakości ich życia. Jednocześnie ci pracownicy stanowią część bazy klientów tego sklepu, jako że mogą po pracy zawsze kupić potrzebne im do życia produkty. W obecnych warunkach ekonomicznych rację bytu miałyby założenie związku zawodowego i narażenie kapitalisty na straty poprzez strajki, a co za tym idzie – wymuszenie negocjacji dotyczących warunków pracy. Ot, samorzędność pracownicza w praktyce.

A JAK MIAŁOBY TO WYGLĄDAĆ PRZY FUNKCJONUJĄCYM GDP?

Prostym kontrargumentem na żądania pracowników byłoby hasło: „I tak przeżyjesz bez tej pracy”. Prócz tego wprowadzenie GDP jest de facto sugestią dla „pracodawców”, że mogą bez problemu „przejąć się” na roboty i obserwować, jak państwo opiekuje się „bazą klientów” z dala od „ich” zakładów pracy. W tym momencie lewica propagująca GDP powinna przypomnieć sobie bardzo ładne słowo, jakim jest „alienacja” – a powód, dlaczego podobna idea jest popularna również wśród neoliberalistów, powinien stać się jasny.

Trudno zresztą żeby było inaczej – nawet w najbardziej radykalnym kapitalizmie ludzie umierający z głodu nie służą zbyt dobrze „pijarowi”. Przy czym neoliberalna rzeczywistość już znalazła na to rozwiązanie w postaci zasiłków dla bezrobotnych (a jakie to cudowne rozwiązanie – bo przy okazji można też naszczuć tych ciężko pracujących na „nierobów!”), a lewica – może z bezradności? – doszukuje się w nieco ładniej nazwanych, ale podobnie działających zasiłkach, jakimi są GDP, rewolucyjnej zmiany na rynku pracy.

Możliwe, że poparcie lewicy dla GDP jest też związane ze zjawiskiem „gówno wartych prac” (jak to nazwał dobrze David Rolfe Graeber). Z tym że ludzie pracujący tylko jako „napęd” dla kapitalizmu, nie produkując niczego „obiektywnie” wartościowego w czasie pracy, widzą w gwarancji dochodu możliwość odciążenia się od zniecierliwionego zawodu i sposób na realizację własnych celów, niezgodnych z nadanym przez „wolny rynek” kierunkiem „rozwoju”. Tylko czy, biorąc pod uwagę powyżej zakreślone wady, nie byłby lepszym rozwiązaniem „rozdział pracy” poprzez znaczne zmniejszenie godzin wykonywanych w tygodniu przez pracownika i – co za tym idzie – gwarancja nie tyle dochodu, co zatrudnienia? Propagatorzy GDP jednak nie mają odpowiedzi na pytanie, co zrobić z tymi ludźmi, którzy chcą pracować, ale pracy znaleźć nie mogą – tutaj neoliberalna doktryna zwana NAIRU (czyli „stopa bezrobocia nienapędzająca inflacji”) zdaje się być wciąż bardzo silna.

Może w tym należy dopatrywać się słabości lewicy – jej propozycje walki z biedą i wielkim kapitałem niewiele się różnią od cementowania obecnych stosunków między klasą posiadającą a klasą pracującą?



JAK DAJĄ TO BRAĆ, BYLE NIE KWITOWAĆ

Obiekcje lewicy wobec gwarantowanego dochodu podstawowego (GDP) nie wydają mi się zasadne. Tak, jestem z tych, co wykonują „gówno war-te prace” i upatruję w GDP nadziei na ratunek. Ale GDP to także koniec przymusu ekonomicznego dla źle zarabiających. Powinniśmy sięgnąć po GDP tak, jak kiedyś sięgaliśmy po 8-godzinny dzień pracy. Jeśli libera-towie nie mówią nie, tym lepiej.

Tak, to prawda, co pisze Maciej Wróblewski – dla szansy wyjścia ze ślepej uliczki absurdałnego zawodu dałbym się posiekać. GDP może być taką możliwością, ale Autor uważa, że lepsze byłoby inne – skrócenie czasu pracy. To sztuczna alternatywa – GDP może tylko przyspieszyć skrócenie czasu pracy.

Jeśli nie ma ekonomicznego przymusu pra-cy, to tym bardziej nie ma ekonomicznego przymusu pracy 8 godzin. Nic innego jak gro-za bezrobocia trzyma nas na zniechęconych etatach. Pewnie każdy ma inne doświadczenie, ale ja w ciągu kilkunastu lat pracy nawet nie pisałem przełożonym, że chciałbym niepełny etat – w końcu sam etat jest już dzisiaj pewnym luksusem. Przy GDP dyktat pracodawcy w sprawie takich „szczegółów” jak wymiar

czasu pracy odejdzie w zapomnienie. Kiedy po-daż pracy spadnie, zajęcie znajdą i trwale bez-robotni – jeśli będą chcieli. Nic nie przyspie-szy tego procesu równie skutecznie jak zmiana układu sił ekonomicznych. Mamy może liczyć na Komisję Trójstronną czy kolejne wybory?

„Przemoc to żyć za tysiąc złotych” – głosił słynny mural. Dopowiem, że terror to „może-my cię zwolnić”.

Rozumiem niepokój w związku z brakiem wyraźnego oporu kapitalistów. Czarny scena-riusz jest taki, że uwolnieni od pracy proleta-riusze zanurzają się po uszy w konsumpcji. Na to pewnie liczą liberałowie i tego boi się Ma-ciej. Ale widzę tu analogię do czarnych scena-riuszy dot. programu 500+ – ach, rozwydrzony motłoch zacznie pić piwo z Biedronki, pogrąży

się w rui i poróbstwie. Jak wiemy, nic takiego się nie stało. Owszem, ludzie porzucili najgo-rzej płatne zajęcia („jak by mi ktoś w pysk dał”, jak mówił Adaś Miauczyński), i bardzo dobrze. Podobne efekty przyniosły znane w świecie eksperymenty z namiastką GDP dla biednych w kanadyjskiej Manitobie, Brazylii czy w pro-gramie Give Directly w kilku krajach Afryki.

I tu dochodzimy do kwestii godności ludzi ubogich. Od stulecia rewolucjonisci lubią po-wtarzać, że im gorzej, tym lepiej. Nawet jeśli (a wiadomo, że nie, o czym za chwilę), to cze-kanie na ferment społeczny za cenę odarcia z godności, przedczesnego starzenia milio-nów ludzi, jest nie do końca fair. Zwłaszcza gdy przyznajemy się do Kropotkina i jego „każde-mu według potrzeb”.

A skutku to raczej nie przynosi. Ostatnimi czasy z tego fermentu wypływają najwyżej bru-rnatne szumowiny. Historia pokazuje, że dopie-ri o oddech, chwila bez kieratu, pozwala myśleć i wszczać bunt. Rewolucję Francuską wywoła-ła burżuazja, Wandę – najubożsi. Jakub Szela był zamożnym gospodarzem. Nieprzywiązany do ziemi, chciał żyć godnie. Kiedy w Polsce

wybuchł Wielki Strajk Chłopski, uczestniczyli w nim biedni, ale nie najbiedniejsi mieszkańcy wsi. W Hiszpanii Rewolucję Społeczną poprze-dziła wieloletnia akcja edukacyjna – przykła-dy można mnożyć. Nikt nie będzie wszczał rewolucji, jeśli zwyczajnie nie będzie miał na nią czasu. Czy tyrający na okrągło pracownicy mogą pomyśleć o stosunkach klasowych, jeśli w ogóle ciężko im się myśli z przepracowania?

Jasne, znam pracowników, którzy wolą ha-rować 3 tygodnie bez dnia przerwy, żeby szyb-ciej kupić telewizor. Przytoczone przykłady pokazują, że rzeczywiście najbiedniejsi nie pracują mniej, otrzymując GDP. Niemniej ni-gdy jeszcze nie testowano gwarantowanego do-chodu podstawowego na tych mniej biednych. Ale „zostawmy umarłym grzebanie umarłych”, a sami zatroszczmy się o życie, które nam jesz-cze zostało – z niego dzień w dzień jedną trze-cią kradnie nam kapitalista.

Cieszymy się z szansy, jaką daje GDP. Sięgnij-my po nią, a odebrany kapitalistom czas spędź-my na burzeniu ich świata i budowaniu nowego.

Krzysztof Śpiewła

SMOG, UBÓSTWO ENERGETYCZNE I RAMY DYSKUSJI

Medialna panika wywołana zimo-wym smogiem miała swoje dobre strony, miała też wyraźne przemilczenia. Wzmocniła się społeczna presja na władze, przyspieszyły zamrożone od lat projekty legislacyjne, wzrosła świadomość istnienia problemu. Ale upublicznienie danej kwestii to jed-nocześnie moment, w którym zostaje zdefiniowany sposób mówienia o niej, powstają ramy myślenia o jej źródłach i związanych z nią potencjalnych rozwiązaniach. Na mainstreamowy konsensus w sprawie zanieczyszczenia powietrza składa się kilka figur, w tym jedna z najpopularniejszych – biedni i/lub głupi ludzie palą odpadami w domowych piecach, trując nas wszystkich. Warto się przyjrzeć bliżej temu obrazkowi, bo to chyba jedyne miejsce, gdzie w dyskusję o smogu wkrada się (przedstawione w skrajnie uproszczony sposób) zjawisko ubóstwa. A w zasadzie jego szczególnie odmiany – ubóstwa energetycznego.

■ CZYM JEST UBÓSTWO ENERGETYCZNE?

W skrócie to trudność zaspokojenia podstawowych ludzkich potrzeb związanych z energią cieplną i elektryczną w miejscu zamieszkania. Te potrzeby to możliwość utrzymania odpowiedniej temperatury w pomieszczeniach mieszkalnych, przygotowania ciepłego posiłku oraz posiadanie dostępu do elektryczności zasilającej oświetlenie i kilka prostych sprzętów domo-wych. W praktyce – w naszej czę-ści świata – główną część kosztów stanowi ogrzewanie. Za zjawiskiem ubóstwa energetycznego stoją trzy grupy przyczyn, występujące razem lub oddzielnie. Po pierwsze są to kwestie techniczne związane z efektywnością energetyczną budynku i charakterem wykorzystywanej instalacji. Kolejną przyczyną jest bieda, czyli brak środków na uregulo-wanie rachunków lub oszczędzanie na ogrzewaniu czy elektryczności tak, by starczyło na inne podstawowe potrzeby. Trzecim czynnikiem są za-

chowania związane z użytkowaniem energii, np. wietrzenie mieszkania przy włączonych kaloryferach.

Ubóstwo energetyczne ma nega-tywne konsekwencje na dwóch po-ziomach – indywidualnym i społecznym. Mieszkanie w niedogranych i zagrzybionych pomieszczeniach źle wpływa na zdrowie, powodując choroby układu oddechowego i układu krążenia, przyczynia się tak-że do zwiększonego stresu i zabu-rzeń psychicznych. Nie wspominając o tym, że zimne mieszkanie ogra-nicza możliwość realizacji codzien-nych potrzeb, takich jak uczenie się, czy zaproszenie znajomych. Jedną ze strategii zaradczych jest szukanie możliwie najtańszego opału – i tu po-jawia się społeczny wymiar proble-mu, czyli smog.

Polskie prawo nie definiuje ubóstwa energetycznego, co w praktyce oznacza, że go nie dostrzega. A ska-ła problemu w polskim społeczeń-stwie jest ogromna. Żeby to zrozu-mieć, warto na chwilę przenieść się do Wielkiej Brytanii, gdzie w latach 90. rozpoczęły się badania nad ubóstwem energetycznym. Powstał wów-czas pierwszy oficjalny wskaźnik tego zjawiska, wg którego gospodarstwo domowe doświadcza ubóstwa ener-getycznego, jeśli ponad 10% jego wy-datków jest przeznaczanych na ener-gię (bez paliwa do samochodów). Tyle że w Polsce średnie wydatki na ten cel wynoszą ...ponad 11%, czyli tak rozumiane ubóstwo energetyczne do-tyczyłoby ponad połowę mieszkań-ców. Obecnie w Anglii wykorzysty-wany jest inny wskaźnik, nazywany *Low Income-High Costs* (LIHC, niskie dochody-wysokie koszty). W odróżnieniu od poprzedniego miernika LIHC pokazuje obraz relatywny, czy-li odniesiony do średnich warunków panujących w danym kraju. W tym ujęciu gospodarstwo ubogie ener-getycznie musi jednocześnie spełniać dwa warunki. Po pierwsze koszt sfi-nansowania usług energetycznych na zadowalającym poziomie powinien być wyższy niż przeciętnie, np. ze względu na duży dom lub słabe ocie-

plenie. Po drugie dochód takiego go-spodarstwa (po odliczeniu wydatków na energię) nie może przekraczać re-latywnej granicy ubóstwa, czyli 60% mediany* dochodu. Przeprowadzo-ne dotychczas badania wskazują, że tak rozumiane ubóstwo energetycz-ne dotyczy kilkunastu procent Polek i Polaków, czyli między 4,5 a 6,5 miliona osób. Jeszcze innym sposobem zobrazowania skali ubóstwa ener-getycznego jest przeprowadzenie wywiadu z bezpośrednio zaintereso-wanymi. I tak, wg danych opubliko-wanych przez Instytut Badań Struk-turalnych, ponad 4 miliony osób w Polsce mieszka w niedogranych po-mieszczeniach.

■ JAKA JEST REAKCJA WŁADZ NA TEN PROBLEM?

Mimo że w prawie pojęcie ubóstwa energetycznego jest nieobecne, poja-wia się wymagane przez unijną Dy-rektywę Elektroenergetyczną poję-cie odbiorcy wrażliwego. Są to osoby otrzymujące dodatek mieszkaniowy z pomocy społecznej, którym – w ra-mach wsparcia w pokryciu kosztów energii – przysługuje dodatek ener-getyczny, wynoszący niecałe 16 zło-tych miesięcznie na 4-osobową ro-dzinę. To kwota tak mała, że trudno nawet narzekać, że państwo skupia się na walce z objawami, a nie przy-czynami. Wróćmy więc do przyczyn. Działania ukierunkowane na trwa-łą poprawę sytuacji powinny polegać na (1) rozwiązaniach technicznych ograniczających koszt i zużycie ener-gii; (2) rozwiązaniach ekonomicznych pozwalających uniknąć spirali zadłużenia i obarczania uboższych mieszkańek i mieszkańców kosztami nieefektywnego systemu energetycz-nego; (3) edukacji w zakresie efek-tywności energetycznej i odnawial-nych źródeł energii. Jednocześnie trzeba szukać rozwiązań, które ogra-niczają zarówno ubóstwo energetycz-ne, jak i negatywne konsekwencje dla środowiska (i żyjących w nim ludzi).

Dobrym przykładem jest termo-modernizacja, czyli minimalizowanie

strat energii cieplnej w budynkach. Dobrze ocieplony dom to nie tylko niższy koszt ogrzewania i mniej spal-onego paliwa, ale także – prawdzi-wa rzadkość w polskiej przestrzeni. Badania Instytutu Ekonomii Środo-wiska wskazują, że w powszechnych w Polsce nieocieplonych domach mieszkają głównie ludzie ubożsi, na-rażając się na wysokie koszty ogrze-wania. Wydaje się, że to dobre pole do interwencji dla władz publicznych. Jednak istniejące instrumenty popra-wy efektywności energetycznej są: (a) skoncentrowane głównie na bu-dynkach użytkowanych publicznej; te nieliczne (b) skierowane do osób pry-watnych i wspólnot opierają się na po-życzkach lub dopłatach do kredytu, a i tak (c) główny program finansowania termomodernizacji domów jednorod-zinnych – uruchomiony w 2015 roku „Ryś” – został zarzucony, zanim na dobre się rozpoczął, lecz nawet gdyby został wdrożony to (d) przeznaczone kwoty w przeliczeniu na mieszkańca były 16-krotnie mniejsze niż w Cze-chach i 34-krotnie mniejsze niż na Słowacji.

■ ZAGROŻENIA I SZANSE

Nieobecność problemu ubóstwa energetycznego w publicznej dysku-sji o smogu powoduje, że rozwiązania wysuwane przez poddane spo-łecznej presji władze mogą obrócić się przeciwko najslabszym. Pro-sty przykład to kwestia parkowania w mieście. Spór ogniskuje się wo-kół możliwości podniesienia stawki opłat za parkowanie, tak by ograni-czyć wjazd samochodów do centrum (a de facto ograniczyć możliwość wjazdu mniej zamożnym osobom). W dyskusji znika fakt, że sprawiedli-wszym, skuteczniejszym i łatwiej-szym z prawnego punktu widzenia rozwiązaniem byłoby zmniejszenie liczby miejsc parkingowych i wspar-cie transportu publicznego. Kolejny przykład to programy wymia-ny pieców, mające ograniczyć niską emisję. Priorytetowe kierunki inwe-stycji dofinansowanych ze środków

publicznych są zwykle wyznaczane na podstawie kosztu instalacji i efek-tu ekologicznego, pomija się nato-miast koszt eksploatacji. W efekcie nowoczesne kotły węglowe i gazo-we wygrywają ze znacznie tańszymi z punktu widzenia użytkownika sie-cią ciepłowniczą i OZE.

Istnieją także pozytywne przykła-dy, pokazujące, że silna mobiliza-cja może doprowadzić do wdrożenia bardziej wrażliwych społecznie rozwiązań. W Krakowie funkcjonuje Lokalny Program Osłonowy, oferują-cy dopłaty do rachunków za energię osobom, które wymieniły stare pie-ce na mniej emisyjne źródła. Przy-kładowo dwuosobowe gospodarstwo domowe, żyjące na 45m², które-go dochód wynosi łącznie 3000 zł miesięcznie, i które zmieniło piec opalany węglem na ogrzewanie ga-zowe, może liczyć na dofinansowa-nie do rachunku w wysokości ponad 850 zł rocznie. Kolejne rozwiązania pochodzą z innych państw europejskich i dotyczą termomodernizacji i ‘zazielenienia’ budownictwa so-cjalnego. Na przykład Atelier Mom-maerts w Brukseli został docieplo-ny, wyposażony w panele słoneczne inow system wentylacji. W rezultacie zużycie energii spadło o 50% (a z nim także rachunki), natomiast czyn-sze płacone przez lokatorów zostały utrzymane na tym samym poziomie, by zapobiec gentryfikacji.

Problem smogu wymaga pilnych działań, ale jeśli jedynym odniesie-niem do problemu ubóstwa ener-getycznego w publicznej dyskusji będzie obrazek wrzucanych do pale-niska odpadów, to rozwiązania wrażli-we społecznie będą niemożliwe do wyartykułowania, a zatem i do zrealizowania. Zamiast wsparcia dla po-trzebujących dostaniemy wzmoczone kontrole palenisk i zastrzone kary. Zamiast inwestowania w rozbudo-wę sieci ciepłowniczych – dopłaty do kredytów na nowoczesne piece. Za-miast zamiany parkingów w tereny zielone – wjazd do miasta jako przy-wilej dla zamożnych.

Jakub Rok

WARSZAWA KAPITALIZM GRZEJE ELITY

Najtańszy sposób ogrzewania mieszkań zapewnia dostęp do sieci ciepłowniczej. W Warszawie płynące z niej ciepło kosztuje trzy razy mniej niż grzanie przy użyciu energii elektrycznej, dwa razy mniej niż olej opałowy i 35 % mniej niż gaz. Stąd najskuteczniejszym sposobem na walkę z ubóstwem energetycznym wydaje się upowszechnienie możliwości korzystania z miejskiej sieci ciepłowniczej, która do niedawna pozostawała w rękach publicznych. Jednak w stolicy to właśnie najbiedniejsi, pozbawieni dostępu do CO, płacą za ogrzewanie najwięcej lub zmuszeni są oszczędzać na nim, spędzając zimę w chłodnych mieszkaniach, niekiedy w warunkach kompletnie niezdatnych do życia.

Władze Warszawy oferują mieszkania komunalne i socjalne z regulowanym czynszem osobom o najniższych zarobkach: listonoszom, sprzątaczkom, pracownikom hipermarketów, emerytom, bezrobotnym, itd. Większość - aż osiem na dziesięć - budynków należących w 100% do miasta powstało formalnie jeszcze przed II wojną światową, a de facto tuż po, w wyniku społecznej odbudowy miasta zniszczonego w ponad 80%. Oryginalnie budynki te ogrzewano głównie węglem lub drewnem. Jeszcze w 1950 roku jedynie 16 % z nich miało dostęp do centralnego ogrzewania. Pod presją mieszkańców w ciągu dekady 1950-1960 potężną część publicznego budżetu przeznaczono na upowszechnienie dostępu do CO w Warszawie, powstało wówczas Stołeczne Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej (SPEC). Liczba budynków podłączonych w tym okresie do sieci ciepłowniczej niemal się potroiła do 44% ogółu zasobu.

W ostatnich dekadach mogliśmy doświadczyć lub zaobserwować odwrotną tendencję.

(Re)prywatyzacji mieszkań komunalnych towarzyszyło bowiem strukturalne niedofinansowanie zasobów miejskich w najslabszej kondycji. W 2008 r., w budynkach całkowicie należących do miasta, władze oferowały na jemucom opcję grzania w piecach i „kozach” częściej niż centralne ogrzewanie (19% lokatorów miało możliwość korzystać z CO, podczas gdy 23% mieszkańców ogrzewało lokale węglem, drewnem itp. Pozostali lokatorzy ogrzewali mieszkania prądem lub gazem. Istają też budynki formalnie pozbawione urządzeń grzewczych - 4% ogółu). W centrum stolicy w 2011 roku większość, to jest 80 na 148 budynków miasta, nie posiadało centralnego ogrzewania. W dzielnicy z największą liczbą mieszkań komunalnych i socjalnych, tj. na Pradze Południe, w tym samym roku odciętych od centralnej sieci grzewczej było 417 na 489 miejskich budynków mieszkalnych - inaczej mówiąc, 85% lokatorów zdanych było na własne, kosztowne sposoby przeżycia chłodnych

miesiący. Ogółem, w skali całego miasta i po uwzględnieniu mieszanej własności budynków (wspólnoty mieszkaniowe itp.), niemal 60% lokatorów miejskich lokali dzieli los opisany powyżej.

Tym samym warunki życia w budynkach należących w pełni do władz są porównywalne do tych z połowy zeszłego wieku, przy czym lokatorzy z budynków całkowicie miejskich, szczególnie na Pradze, funkcjonują poniżej poziomu warunków z roku 1950 (kiedy 16% używało CO), a reszta szczęśliwców korzysta ze zdobyczy lat 1950-60. Należy tu nadmienić, że koszty ogrzewania energią elektryczną były w owych latach nieporównanie niższe niż dziś, czego wspomnieniem są m.in. zainstalowane w starych piecach kaflowych grzałki elektryczne. Dziś, w XXI wieku, zbyt kosztowne grzałki są w stolicy wymontowywane przez lokatorów, na rzecz powrotu do tańszego sposobu ogrzewania węglem, drewnem i czym popadnie - jesteśmy tu zatem świadkami regresu nie o 60-70 lat, a wręcz do epoki kamienia łupanego.

Jak władze stolicy zaplanowały swoje zmagania w zakresie ubóstwa energetycznego? Zgodnie z „Wieloletnim planem gospodarowania mieszkaniowym zasobem m.st. Warszawy na lata 2013-2017” ratusz uznał formalną możliwość podłączenia do sieci 61% miejskich budynków pozbawionych centralnego ogrzewania - resztę władze planowo odpuszczają, powołując się na trudności techniczne i związane z nimi zbyt wysokie koszty. W tytułowym okresie działań ratusz zobowiązał się do podłączenia centralnego ciepła dla 3622 lokali, co

stanowi odpowiednio 4,4% ogółu publicznego zasobu mieszkaniowego i 12,8 % mieszkań w budynkach należących do miasta w całości. Kolejne 4 % miejskich budynków (1,4 % ogółu) przejdzie termomodernizację.

Znamiennie, że narzędziem używanym dla poprawy statystyk częściej niż upowszechnianie dostępu do CO jest uwzględniona w Planie (re)prywatyzacja mieszkań: w omawianym okresie 2013-2017 władze oszacowały, iż wyzbędą się co najmniej 4800 lokali (3300 w ramach 'zwrotów', reszta to wynik uwłaszczania się lokatorów). Warunki życia po reprivatyzacji, inaczej niż w neoliberalnych teoriach, zwykły się znacznie pogarszać dla osób wpędzonych w ubóstwo energetyczne. „- Jak wyłączyli nam gaz, to kupiliśmy termy i kuchenki elektryczne” - opowiada lokatorka przejętej kamienicy przy Kępczej 15. Wkrótce potem nowy właściciel odciął także wodę. Na pisemną prośbę o ponowne podłączenie mediów, lokatorzy otrzymali odpowiedź: „Problem polega na tym, że w budynku jest za dużo gówna, zarówno ludzkiego, jak i psiego. Jak tylko gówno opuści budynek, wszystkie problemy przestaną istnieć”... Powyższą retorykę elit można rozciągnąć na szerszą skalę: „jak tylko biedni opuszczą miasto, problemy przestaną istnieć” (bogaci rzadko rozważają, kto wówczas roznosiłby im listy, niańczył ich dzieci, kto by im piekł chleb, sprzedawał zza lady itp. itd.).

Walka z ubóstwem energetycznym w ramach neoliberalnego modelu sprowadza się do... walki z ubogimi. W takim sensie, neoliberalna retoryka grup anty-smogowych jest częścią problemu, a nie rozwiązaniem. Włączenie problematyki miejskiego smogu do anty-społecznego programu politycznych i biznesowych elit jedynie zamiata pod dywan tworzony przez nie brud i umacnia przepaści społeczne. Czystych, ciepłych warunków życia nie da się stworzyć dla wąskiego grona uprzywilejowanych w mieście bez rozwoju przestrzennego i ekonomicznego apartheidu. Dlatego skuteczna walka z brudnym powietrzem jest nierozdzielnie związana ze zniesieniem ubóstwa energetycznego. Ta walka o powszechny dostęp do ciepła i społeczną kontrolę nad jego produkcją i dystrybucją powinna się stać częścią wspólnej strategii grup lokatorskich/anarchistycznych i ekologicznych.

Antek Wiesztort, Maria Burza

Federacja Anarchistyczna Rzeszów zaprasza na:
II Bieszczadzki Wędrowny Obóz Anarchistyczny
 21-24.09.2017
 W wędrowce po urokliwych zakątkach Bieszczad, będziemy rozmawiać o tym co w nas i wokół nas, pomysłach na jutro. Mamy nadzieję na sporo radości, humoru i empatii. Czekamy na sygnały od wszystkich bardziej lub mniej zainteresowanych własną wolnością, chcących wśród przyrody zatrzymać się na chwilę refleksji...

Kontakt:
 fa.rzeszow@riseup.net
 tel: 516 899 781




WARSZAWSKI NIEZALEŻNY KIERMASZ KSIĄŻEK #2

Druga edycja Warszawskiego Niezależnego Kiermaszu Książek również w tym roku odbędzie się w Autonomicznym Centrum Społecznym ADA przy Puławskiej 37 (Warszawa), w dniach 9-10 września 2017. Jeśli piszesz, drukujesz, organizujesz, tłumaczysz, prowadzisz bibliotekę albo coś badasz, tworzysz lub po prostu - tak jak my - lubisz książki, wpadnij nas wesprzeć w działaniach na rzecz niezależnych wydawnictw i książkowej samoorganizacji. Zapraszamy na dyskusje, wykłady, warsztaty i koncerty w trakcie WNKK!

W ubiegłym roku w Kiermaszu udział brały różnorodne grupy z kraju i zagranicy, międzynarodowe kolektywy, migranci i migrantki mieszkający w Warszawie oraz dziesiątki miłośniczek i miłośników książek w każdym wieku. Nie możemy się doczekać, aby tegorocznej jesieni znów się z wami spotkać!

Oprócz wydarzeń związanych z tematyką wydawniczą, kiermasz to także przestrzeń warsztatów oraz spotkań poruszających szerokie spektrum tematów - chcemy oddać głos inicjatywom oddolnym i osobom wyklucza-

nym z dominującego dyskursu //z powodu rasy, pochodzenia, płci, orientacji seksualnej, wieku, ekonomicznych barier lub sprawności//. Pomyślmy wspólnie, jak dzielić się naszymi doświadczeniami, aby uczyć się od siebie nawzajem, z szacunkiem dyskutować nad alternatywami oraz spojrzeć krytycznie na współczesną rzeczywistość.

Na zgłoszenia czekamy do 10. sierpnia pod adresem: warsawbookfair[at]riseup.net.

Nie będziemy w stanie pokryć waszych kosztów podróży, nie pobieramy jednak żadnej opła-

ty za stoisko i zapewniamy miejsce noclegowe oraz posiłki dla osób aktywnie uczestniczących w wydarzeniu. Z powodu ograniczeń przestrzennych możemy zaproponować określoną liczbę stanowisk/miejsc na warsztaty. Jeśli macie jakieś pytania, chcecie włączyć się w przygotowanie wydarzenia lub pomóc w promocji i organizacji przed i w trakcie samego kiermaszu (np. przy plakatowaniu, przygotowywaniu przestrzeni, opiece nad dziećmi, etc.), piszcie na adres warsawbookfair[at]riseup.net.

Kolektyw WNKK



zgłoszenia do 10 sierpnia // więcej info: www.warsawbookfair.esy.es

FASZYZM / ANTYFASZYZM W KINIE

POCZĄTKI

Zanim faszyzm zaistniał w społeczno-politycznej świadomości oraz na ulicach europejskich miast, można było jego zapowiedź (i ostrzeżenie przed nim) znaleźć w kinie. X Muza od blisko stu lat nie tylko dokumentuje, ale też kształtuje narracyjne i wizualne formy oporu wobec ksenofobii i nacjonalizmu.

Oczywiście, faszyci próbowali i próbują zwłaszcza tę formę ekspresji, pozostają jednak na estetycznej powierzchni i w najciekawszych dokonaniach co najwyżej kreują obraz czegoś niepokojącego, niż skutecznie przekonują do idei supremacji rasy i nacji. Ci, którzy kino utożsamiają z wolnością i brakiem granic w wizjach świata, nigdy nie pogodzili się z pochodem skrajnej prawicy i również za pomocą filmów dawali wyraz swym przekonaniom.

POCHÓD TYRANÓW, CZYLI SKĄD SIĘ WZIĄŁ NAZIZM?

Za zapowiedź „pochodu tyranów” uznaje się pierwsze filmy niemieckiego ekspresjonizmu filmowego, jednocześnie kodyfikujące język kina grozy. Pierwszym, który zwrócił na to uwagę, był Sigmund Kracauer – niemiecki dziennikarz i socjolog, późniejszy mentor Theodora Adorno. W książce „Od Caligariego do Hitlera. Z psychologii filmu niemieckiego” postawił on tezę, że w filmie odbijają się pokłady mentalności zbiorowości istniejącej poza świadomością. Kracauer nazwał to „układem psychologicznym” i właśnie w taki sposób – badając odzwierciedlenie nieświadomej mentalności – badał kino niemieckie z okresu sprzed II wojny światowej. W jego ujęciu mentalność narodu nie jest tożsama z jakimś narodowym charakterem, lecz z aktualnymi nastrojami i tendencjami panującymi w zbiorowości.

To nowatorskie wówczas, a dziś często krytykowane (m.in. za uproszczenia socjopsychologiczne, niewystarczające zaakcentowanie klasowego charakteru stosunków społecznych, a także roli elit w legitymizowaniu kolejnych form opresji) stanowisko stało się

podstawą m.in. psychoanalitycznie zorientowanej koncepcji kina jako społecznego barometru. Filmy takie jak „Gabinet doktora Caligari” (1920) R. Wiene czy „Nosferatu – symfonia grozy” (1922) W.F. Murnaua ujmowane były przez Kracauera, ale też np. późniejszą badaczkę Lotte Eisner (autorkę „Ekranu demonicznego”, książki opisującej szczególnie charakter niemieckiej kultury grozy) jako wyraz fascynacji i przyszłej akceptacji rozmaitych tyranów i „rzeczy niezwykłych”.

Trzeba jednak uczciwie dodać, że im bardziej faszystowska przemoc się materializowała, tym mroczne opowieści mocniej odchodziły od etapu fascynacji w stronę krytyki autorytaryzmu i gloryfikacji idei humanistycznych. Obrazy Fritza Langa czy wspomnianego Murnaua z lat 30. to już nie opowieści o wielkich zbrodniarzach, ale mechanizmach społecznych, które do powstania tyranii doprowadzają. Odpowiedzi na pytanie „skąd się wziął nazizm” czy w ogóle idea autorytarnej władzy, twórcy ci szukali także w USA, gdzie spotykali się z innymi formami finansowej i ideologicznej opresji.

TOLERANCJA/NIETOLERANCJA PO AMERYKAŃSKU

Stany Zjednoczone są zresztą ciekawym przykładem kraju z jednej strony opartego na kolonialnym podboju (co opisują – z czasem coraz bardziej krytycznie – westerny i dramaty społeczne), z drugiej – na idei równości i wolności. Pytając o Amerykę, należy brać pod uwagę, kogo pytamy i kiedy.

Przykładowo: pionier kina, David Wark Griffith, nakręcił antyanarchistyczną bzdurkę

„The Voice of The Violin” w 1909 (o udaremnionym zamachu na arystokratyczną rodzinę). Sześć lat później świat zaszokowały „Narodziny narodu”, szokująca gloryfikacja (i wybielenie, nomen omen) wczesnego Ku Klux Klanu – rasistowskiej organizacji weteranów wojny secesyjnej z amerykańskiego Południa. Ten sam Griffith już w 1916 roku zrobił swoje opus magnum – wymierzoną we wszelką ksenofobię, pacyfistyczną „Nietolerancję”. Ten monumentalny, istniejący dziś w wersji zrekonstruowanej (trwającej niemal 4 godziny) film to symultaniczna opowieść o różnych formach prześladowań ludzi i zdecydowane opowiedzenie się po stronie ofiar. Griffith włożył w ten obraz nie tylko serce, ale i całe swoje pieniądze – długi spłacał do końca życia. „Nietolerancja” była jego najpełniejszą i niestety niezrozumiałą w swoim czasie opowieścią.

WŁOCHY SĄ BIAŁE I CO Z TEGO WYNIKA?

W tym samym czasie, tuż przed przejęciem władzy przez faszystów, w odrodzonych Włoszech powstają pierwsze filmy gatunkowe, przede wszystkim monumentalne i stawiające na uniwersalne wartości (jak bardzo popularna zresztą w stanach „Cabiria” z 1914). Kontekst Wielkiej Wojny i późniejszych rządów faszystów pozwala zrozumieć, dlaczego we Włoszech słabo rozwijał się antytotitalarny opór. Zaczynający wchodzić w świat kina późniejsi twórcy kina społecznego, neorealizm mieli w zasadzie związane ręce. Zostawało im eskapistyczne „kino białych telefonów” (białe telefony były fantazją biedoty na temat prestiżu – większość ludzi używała niezbyt wyszu-

kanych czarnych), komedie o wojnach kulturowych oraz widowiska w rodzaju „Scypiona Afrykańskiego” (1937) – monumentalne apoteozy włoskiego militarysty.

Sytuacja zmieniła się w latach 40. Luchino Visconti, zdeklarowany marksista i jednocześnie jeden z najwybitniejszych reżyserów kina włoskiego, debiutuje „Opętaniem” (1943) – klasycznym już oskarżeniem systemu społecznego o reprodukcję zbrodniarzy. Kolejne filmy nurtu, uciekające od zwulgaryzowanego marksizmu w stronę obserwacji społecznej, były portretem owych „białych Włoszech” – już niezakłamanym, a więc gorzkim. Te opowieści o dzieciach ulicy (1946), złodziejach rowerów (1948) czy antyfaszystach (m.in. „Paisa” R. Rosselini z 1946) były autentyczną reakcją na faszyzm. Dawały ludziom inną odpowiedź na ich problemy – nie opartą na wojnie i wyzysku, lecz międzyludzkiej solidarności i dążeniu do realizacji własnych pragnień. Z czasem i ten nurt dorobił się wariantów bardziej eskapistycznych, począwszy od „Cudu w Mediolanie” de Sici z 1951, ale nawet one były raczej utopiami niż projektami elit dla klasy średniej czy biedoty.

HISZPANIA STAWIA OPÓR: WOJNA - REWOLUCJA - POLARYZACJA

Wojna domowa i rewolucja społeczna w Hiszpanii (1936 – 1939) wstrząsnęły światem. Były to wydarzenia, które – co prawda na krótko – spolarowały ludzkość: można było opowiedzieć się za albo przeciw reakcji/faszyzmowi. Dodatkowo anarchiści, uspołeczniając kino i czyniąc je dostępnym dla każdego, zmieniali fundamentalnie jego charakter. Nie oznaczało to jednak pójścia – jak w przypadku komunistów – w stronę awangardy, ale kina autentycznie ludowego. Można było je zobaczyć m.in. w Anarchistycznej Klubu/Księgarni Zemsta, są też zamieszczone na stronie projektu Radykalny Kinematograf (<https://www.youtube.com/channel/UCb3jZ4r8KU1vUjQRC5V4dTg>). Żaden z tych obrazów, dokumentalnych czy fabularnych, nie aspiruje do miana arcydzieła, monumentu. To raczej zapis, nawet nie dokument, co impresja na temat stanu rzeczy. Codzienne życie, ale też błahostki, pogrzeb Duruttiego i relacje z frontu, pieśni rewolucyjne i kontrasty klasowe lat 30. Te filmy nie pokazują życia. One są życiem.

Poza samą Hiszpanią, zwłaszcza rewolucyjną, filmowcy byli dużo bardziej uzależnieni od aktualnych polityk swych krajów. Ciekawy jest tu zwłaszcza przypadek Amerykanów. W samym (burzliwym) 1937 powstały przynajmniej trzy obrazy, pokazujące w paradoksalnej formule hiszpańską wojnę domową „Hiszpania w płomieniach”, „Hiszpańska Ziemia” i „Hiszpania 1936”. Okrucieństwa wojny splatały się tam z prorepublikańską propagandą oraz często niezbyt skrywaną komunistyczną optyką. Na ich wydźwięk i formę wpływ miał Ernest Hemingway, wspierający stronę komunistów, ale pomijający w zasadzie rewolucję społeczną i dość krytycznie nastawiony do anarchistów. Trudno uznać te obrazy antyfaszystowskiego oporu w Hiszpanii za wyczerpujące. Stworzyły one jednak pewną wizję, do której inne dzieła antyfaszystowskie, chcąc nie chcąc, muszą się odnosić. Wciąż bowiem temat pozostaje ten sam: konfrontacja z faszyzmem. Radykalna, bezpośrednia i potrzebna dziś tak samo, jak 80 lat temu.

Krzysztof Kołacki



ANTYFASZYŚCI

30.06.2017/20:00/KINO MURANÓW/WARSZAWA

POCZUCIE CZY BEZPIECZEŃSTWO?

Kamery stają się coraz powszechniejszym elementem krajobrazu. Mimo że jest ich coraz więcej, to z roku na rok zwracamy nie mniej uwagi. Przyzwyczajamy się. Wielu z nas je nawet polubiło. Podobno są dla nas, podobno zwiększają nasze bezpieczeństwo. Ci którzy się sprzeciwiają, słyszą, że uczciwy człowiek nie ma nic do ukrycia. Czy kamery zwiększają bezpieczeństwo czy jedynie poczucie bezpieczeństwa?

Zdecydowana większość z nas odpowie automatycznie, że obszar monitorowany jest bezpieczniejszy niż ten pozbawiony monitoringu, więc kamery zapewniają nam bezpieczeństwo. O ile pierwszą część zdania można uznać za prawdziwą (jej analizą zajmujemy się w dalszej części artykułu), to druga jest fałszywa. Trudno w to uwierzyć, ale nie istnieją badania, które jednoznacznie wskazują na „ogólny” spadek przestępczości wskutek instalacji kamer.

Istotnym zjawiskiem, które często powoduje monitoring, jest tzw. przemieszczanie się przestępczości. W najbliższym otoczeniu kamer zachowania niezgodne z prawem podejmowane są rzadziej, jednak sprawcy nie rezygnują z nich, tylko przenoszą się w inne – nieobserwowane, często znajdujące się tuż obok – miejsce. Oczywiście, na obszarze monitorowanym często dochodzi do spadku przestępczości, jednak w wielu przypadkach przestępczość nie znika, ale „migruje”. Przestępcy nie lubią miejsc monitorowanych, ale nie rezygnują z łamania prawa. Po prostu preferują miejsca, gdzie nie ma kamer, zasłaniają twarze, operują

w miejscach niewidocznych dla kamer (w skrajnych przypadkach pod samą kamerą, ewentualnie za jakąś przeszkodą np. furgonetką), czy wreszcie zmieniają sposób działania (np. stosują metodę „na wnuczka”).

Czy w takim razie rozwiązaniem jest monitorowanie jak największego obszaru? Zdecydowanie nie. Monitoring wzmacnia atmosferę nadzoru, braku zaufania i szacunku dla autonomii drugiej osoby. Wymaga też znacznych nakładów finansowych. Instalacja dobrej jakości kamer dużo kosztuje, trzeba zapłacić pensje osobom, które je obsługują. Przeznaczenie znacznych środków na kosztowne systemy monitoringu ogranicza zasoby finansowe, które mogłyby być przeznaczone na inne, bardziej potrzebne działania.

Zjawisko powszechnego monitoringu doczekało się wielu opracowań naukowych. Do najciekawszych i najrzetelniejszych z nich należy „Crime prevention effects of closed circuit television: a systematic review” z 2002 roku. Autorzy poddali w nim analizie 22 wcześniej przeprowadzone badania nad skutecznością monitoringu w obniżaniu liczby przestępstw.

Instalacja kamer była w nich głównym działaniem prewencyjnym, jasno określono liczbę przestępstw, a poziom przestępczości był mierzony przed i po instalacji monitoringu. Do badanego obszaru monitorowanego (eksperymentalnego) przypisano odpowiadający mu obszar kontrolny (bez kamer). W rezultacie autorzy badania stwierdzili, że skuteczność monitoringu w obniżaniu przestępczości wynosi 2 proc.

Kolejnym istotnym badaniem jest „Assessing the impact of CCTV” z 2005 roku. Studium opierało się na analizie wyników 13 przeprowadzonych do tej pory badań nad monitoringiem. Znalazły się wśród nich badania systemów monitoringu wdrażanych w centrach mniejszych i większych miast, na parkingach samochodowych i w szpitalach. Oprócz syntezy przeprowadzonych do tej pory badań, dodatkową wartość analizy stanowi wymiar merkantylny. Badacze przybliżają w raporcie aspekt efektywności instalowanych systemów monitoringu mierzonego ekonomicznym stosunkiem poniesionych kosztów do uzyskanych finalnie wyników. Autorzy raportu wykazali, że

monitoring jest nieskutecznym narzędziem w obniżaniu przestępczości i nie wpływa na poczucie bezpieczeństwa mieszkańców. Z jednym wyjątkiem, badanie wszystkich systemów nie wykazało związku pomiędzy instalacją kamer i zmniejszeniem liczby przestępstw. Wyjątek stanowił system zainstalowany w Hawkeye, który miał służyć obniżeniu ilości przestępstw samochodowych. Aż 82 procentowe ograniczenie tych zdarzeń niewątpliwie świadczy o sukcesie wdrożonej infrastruktury. W raporcie znajduje się również analiza efektywności monitoringu. Warto więc odnotować, że wartość współczynnika efektywności wszystkich analizowanych systemów była bardzo niska. Miało to miejsce nawet w przypadku najbardziej skutecznego systemu, którego instalacja przyniosła ograniczenie przestępstw samochodowych o 82 proc.

■ PRAWO

Skoro kamery monitoringu są powszechnie montowane na ulicach, placach czy też w sklepach, urzędach itp. itd., zakłada się, że ich montaż i obsługa są uregulowane

przez prawo. Niestety nie. Właściwie każdy może założyć kamerę i filmować, co zechce. Istnieją jedynie przepisy regulujące wykorzystanie monitoringu np. w zakładach karnych albo podczas imprez masowych.

Instalują je więc służby mundurowe, samorządy, leśnicy, zarządzający nieruchomościami, pracodawcy, dyrektorzy szkół i przedszkoli. Czy kamery mogą być przez nich instalowane? Wątpliwości co do tego są bardzo poważne. Nie wiadomo też, jak długo powinny być przechowywane nagrania, w jaki sposób należy je zabezpieczać, komu można je udostępnić. Nie ma nawet obowiązku informowania, gdzie zainstalowane są kamery ani jaki obszar filmują. Nikt nie nadzoruje kto i jak nas nagrywa. Nie ma obowiązku, aby umieszczać na kamerze informację, kto jest jej właścicielem czy operatorem. Nie wspominając o tym, po co kamera znajduje się w danym miejscu i co robi (czy rejestruje obraz, ile czasu jest przechowywany zapis).

■ KOSZTY MONITORINGU

Monitoring wizyjny wiąże się z wysokimi kosztami, które generuje instalacja kamery, jej serwis i obsługa. Największym kosztem monitoringu jest jednak wzajemne zaufanie. Zamontowane w szkole, pracy, sklepie wysyłają wyraźny sygnał: nie ufam Ci. Dzięki kamerom można też wykluczać i „sortować” ludzi. Są one

KONGRESONO ZAWITAŁO DO WROCŁAWIA

Trzecia edycja Kongresono za nami. Odbyło się ono pod koniec kwietnia we Wrocławiu – w ramach Anarchistycznej Majówki zakończonej demonstracją 1 Maja. Kilkanaście ciekawych dyskusji i warsztatów przyciągnęło wielu ludzi zainteresowanych historią i działalnością ruchu anarchistycznego.

Na początku chcę pochwalić organizatorów za świetne przygotowanie. Centrum Reanimacji Kultury to dobre miejsce do organizowania takich wydarzeń i mam nadzieję, że będzie ich tam więcej.

Pierwszą prelekcję przygotował Xavier, który przedstawił historię syndykalizmu i anarchosyndykalizmu oraz relacji tego nurtu z partiami socjaldemokratycznymi. Jego zdaniem powiązanie ruchu związkowego z partiami było dla robotników pułapką. Związki zawodowe wmieszały się w spory polityczne i uległy nacjonalistycznej propagandzie, czego skutkiem było poparcie dla I Wojny Światowej. Po powstaniu ZSRR lewica podzieliła się na komunistyczną i socjaldemokratyczną. Podział ten odbił się niekorzystnie na ruchu robotniczym. Syndykalizm jako jedyny był w opozycji do liberalno - demokratycznej ideologii i partii politycznych, zarówno komunistycznych jak i socjalistycznych.

Współcześnie socjaldemokracja uległa degeneracji i przyjęła język i doktrynę liberalistów. Podczas dyskusji po prelekcji zwrócono uwagę, że pewnej degeneracji uległ również syndykalizm, który przestał używać anarchistycznych haseł i przejął język dawnej socjaldemokracji. Zdaniem przedstawiciela ZSP rolę związku zawodowego jest przede wszystkim dbanie o interes klasowy jego członków.

— My mówimy, że trzeba walczyć w miejscu pracy, każde małe zwycięstwo pracowników jest ćwiczeniem w rewolucji. To daje nadzieję ludziom, którzy myślą, że nie da się poprawić ich sytuacji. Rolą związku zawodowego jest wspieranie pracowników. Naszym zadaniem jest podnosić poziom walki klasowej aż do zniesienia systemu. Nie da się osiągnąć sprawiedliwości w ramach systemu — stwierdził Xavier.

■ EDUKACJA WOLNA OD PRZYMUSU

Ewa i Alex opowiedzieli, czym jest edukacja wolnościowa. Prawo pozwala wykonywać obowiązek szkolny poza państwową szkołą. Dzięki temu można realizować idee edukacji demokratycznej i wolnościowej. Pojęcie edukacji wolnościowej odnosi się głównie do nauczania domowego, ale elementy edukacji wolnościowej realizowane są też w szkołach eksperymentalnych i niepublicznych. Alternatywna edukacja jest coraz bardziej popularna. Ewa przedstawiła najczęściej praktykowane formy edukacji wolnościowej jak pedagogika Montesorii czy szkoły waldorfskie.

Jak zauważyli uczestnicy spotkania, edukacja wolnościowa obecnie dostępna jest dla nielicznych dzieci, zazwyczaj z bogatych rodzin. Przyczynia się ona do wzmacniania nierówności społecznych. Z kolei szkoły wolnościowe niepobierające opłat cierpią z powodu niedofinansowania, co skutkuje rotacją kadr i szukaniem oszczędności - niekiedy na wynagrodzeniach nauczycieli. Bez zmiany systemu jedyne co możemy zrobić, zdaniem prelegentów, to upowszechnić nauczanie wolnościowe, by było dostępne dla jak największej liczby dzieci.

■ LUDZIE PRZECIW MYŚLIWYM

Kawka z koalicji „Wrocławianie i Poznaniacy przeciw myśliwym” opowiedział, jak wyglądają blokady polowań i dlaczego powinniśmy włączać się w takie inicjatywy. Myślistwo powoduje wiele szkód w przyrodzie, a myśliwi są wpływowym lobby, które ma duże poparcie wśród elit. Polowania oprócz oczywi-

stej krzywdy dla przyrody są zagrożeniem dla mieszkańców wsi i przedmieść, co wzbudza coraz większy ich sprzeciw.

— Problemem naszego ruchu jest fakt, że w dużym stopniu odeszliśmy od zielonego anarchizmu. O ile kilkanaście lat temu było sporo działań w nurcie ekoanarchizmu, to dziś jest niewiele takich akcji. Tymczasem patrząc na to, jakiego mamy ministra środowiska, jakie kolejne ustawy są wprowadzane, powinniśmy działać — powiedział prelegent.

■ ANARCHIZM ZMIENIŁ CHIŃSKIE SPOŁECZEŃSTWO

Jednym z ciekawszych wystąpień był wykład Michała o historii chińskiego ruchu anarchistycznego. Chiński anarchizm oprócz inspiracji filozofią anarchistyczną Zachodu i Rosji (głównie Kropotkina), czerpie dużo z taoizmu i buddyzmu. Chińscy anarchiści opracowali program „Praca i Studia”, który opłacał chińskim studentom edukację głównie w kierunkach przyrodniczych i ścisłych. Uczestnicy tego programu założyli pierwszą fabrykę tofu w Europie, dzięki czemu produkt ten spopularyzowano na Zachodzie. W Państwie Środka spopularyzowali natomiast język esperanto, a także idee równouprawnienia kobiet. Kobiety odegrały zresztą istotną rolę w tym ruchu - zwłaszcza po 1911 r. Anarchiści mieli duży wpływ w stworzeniu nowej literatury pisanej współczesnym językiem chińskim.

■ CZY WARTO WALCZYĆ O NAZWĘ „LIBERTARIANIZM”

Drugi dzień rozpoczął się prelekcją Daniela, który postawił tezę, że skrajna lewica gra wg scenariusza napisanego przez kapitalistów. Jego zdaniem libertarianizm pierwotnie był jednym z nurtów anarchizmu. Libertarianie byli za absolutną wolnością we wszelkich sferach i sprzeciwiali się liberalizmowi, który stał się autorytarny przez system kapitalistyczny. W latach 40., dzięki konsolidacji prawicy i wsparciu finansowemu ze strony fundacji powiązanych z kapitalistycznymi oligarchami, wypromowano libertarianizm jako ruch odrzucający równość ekonomiczną

wykorzystywane np. na grodzonych osiedlach i w centrach handlowych „aby ograniczyć dostęp osobom niepożądanym – bezdomnym, żebrzącym lub po prostu tym, którzy do danego miejsca „nie pasują” np. emerytom albo młodzieży.

Drugim kosztem monitoringu może być rozproszenie odpowiedzialności. Widząc kamerę, jesteśmy mniej skłonni podjąć ryzyko i zainteresować w sytuacji, gdy np. ktoś jest bity na ulicy. Zakładamy, że służby są automatycznie powiadomione przez operatora kamery, a my sami nie musimy nic robić.

Najbardziej wymiernym kosztem monitoringu są koszty finansowe liczone zazwyczaj w milionach. Dla przykładu w latach 2010-12 Warszawa wydała ponad 45 mln zł. na utrzymanie i rozwój monitoringu. W mniejszych miastach kwoty nie są tak olbrzymie, ale nadal robią wrażenie, np. Radom wydał 6,7 mln, a niewielki Zamość 1,7 mln.

Czym dokładnie zajmują się sieci monitoringu? We wspomnianej Warszawie w latach 2010-13 kamery zaobserwowały aż 55794 zdarzenia. Jednak najczęściej są to obserwacje osób nietrzeźwych (17910), zdarzenia w ruchu drogowym (10430) czy spożywanie alkoholu w miejscach publicznych (4737). Przestępstw było zdecydowanie mniej: 55 włamań czy 427 kradzieży. W innych miastach stosunek poważnych zdarzeń do tych banalnych jest podobny. Zdecydowanie więcej jest niegroźnych wykroczeń niż wpływających na nasze

bezpieczeństwo kradzieży lub rozbojów. Chociaż zdarzają się takie miasta, w których monitoring ewidentnie jest nastawiony na zarabianie poprzez „wlepianie” mandatów. W Gnieźnie na 12451 zdarzeń aż 10923 dotyczyło nieprawidłowego parkowania. Rekord padł w Ozorkowie gdzie na 1688 zdarzeń 1682 dotyczyło parkowania!

Większość z nas opowiada się za zwiększeniem liczby kamer. Dzięki temu czujemy się bezpieczniej. Niestety jest to jedynie poczucie bezpieczeństwa a nie bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo zapewnia brak nierówności społecznych, możliwości

rozwoju (w szczególności dla młodych mężczyzn z mniej zasobnych rodzin), właściwa edukacja. To skala makro, na którą jedna osoba ma niewielki wpływ. A co można zrobić dla swojego bezpieczeństwa tu i teraz? Zadbaj o właściwe oświetlenie, projektowanie budynków i osiedli w taki sposób, aby unikać niepotrzebnych zaułków.

Monitoring nie zmniejsza przestępczości ani nie zmniejsza strachu przed przestępczością. Widząc kamerę, możemy podejrzewać, że wokół jest niebezpiecznie.

AB



KONGRESO NOKONGRESO NOKONGRESO

i głoszących wiarę w wolny rynek. Nazwa „libertarianizm” została następnie zawłaszczona przez prawicę. Daniel uważa, że anarchiści powinni zawalczyć o odzyskanie tej nazwy, gdyż słowo „wolność” dobrze się kojarzy.

Nie wszyscy zgodzili się z tym zdaniem. Według Tymka ruch anarchistyczny powinien trzymać się słowa „anarchizm”, swoim działaniem pokazywać na czym polega ta idea i obalać mity propagowane przez media. Z kolei zdaniem Xaviera warto promować pojęcie „ruch wolnościowy”, ale też nie trzeba wstydzić się skojarzeń anarchizmu z chaosem. — Wśród strajkujących listonoszy wrocławskich pojawiło się hasło „zrobmy rozpierdol! Zaprosimy kiboli i anarchistów”. Ludzie potrzebują poczucia mocy, a anarchiści z tym się kojarzą.

Czy poświęcając swoją energię na walkę o nazwę cokolwiek zyskamy? Ruch anarchistyczny powinien zająć się swoją działalnością na rzecz wyzwolenia ludzi z opresji władzy broniącej kapitalizmu, a kwestia nazwy wydaje się rzeczą drugorzędą. Takie słyhać było opinie w kuluarach.

WOLNE OPROGRAMOWANIE IDEA POLITYCZNA

Sasza z Warszawskiej Federacji Anarchistycznej przedstawił ideę wolnego oprogramowania, które jest jednym z najlepszych przykładów praktycznej realizacji idei anarchizmu. Pierwotnie kod źródłowy był otwarty. W latach 80. pojawiły się firmy handlujące oprogramowaniem o zamkniętym kodzie, które jest płatne i obwarowane licznymi restrykcjami ograniczającymi możliwości wykorzystania i kopiowania go. W reakcji na te tendencje powstał ruch wolnego oprogramowania.

– Wolne oprogramowanie to idea polityczna. To protest przeciw korporacjom i pokazanie, że można tworzyć oprogramowanie bez udziału prywatnych korporacji. W wolnym oprogramowaniu wiemy, co jest w kodzie, wiemy, jak ten program działa i co wysyła na zewnątrz. Daje to

bezpieczeństwo, gdyż nie można zawrzeć w nim np. modułów szpiegujących użytkownika — zauważył Sasza.

Kolejna prelekcja dotyczyła umiejscowienia insurekcjonizmu w teorii postrukturalnej. Temat z pewnością ważny, ale samo wystąpienie było zbyt akademickie. Te hermetyczne rozważania wymagały więcej czasu na wyjaśnienie terminologii i koncepcji filozoficznych, na których zbudowano prelekcję.

KM z kolei przedstawił współczesną sytuację polityczną w USA. Spory rozgłos zyskał tam ostatnio ruch Alt-right, który duży nacisk kładzie na wizerunek. To ładnie wyglądający nazizm, który można pokazywać w mediach. Alt-right posiada też nurt pseudoantykapitalistyczny docierający do klasy robotniczej. Pojawienie się tego ruchu zmobilizowało anarchistów i antyfaszystów. W USA nie ma ruchu anarchistycznego takiego jak obecnie w Europie, w ostatnich latach powstało tam jednak dużo grup antyfaszystowskich, w reakcji na wzrastającą popularność skrajnej prawicy.

Na Kongresonie były też ciekawe prelekcje o prasie anarchistycznej, subkulturowych zinach i warsztaty z bezpieczeństwa. Zabrakło jednak dyskusji o stanie współczesnego ruchu anarchistycznego. Nikt z prelegentów nie odniósł się do sytuacji politycznej w Polsce i Europie, w której widoczne są tendencje autorytarne. Zabrakło też rozważań o taktyce działań ruchu, o tym, jak współpracować z ruchami lokatorskimi i pracowniczymi w bardziej radykalnych antypaństwowych akcjach. Warto też podczas następnej edycji stworzyć większe możliwości interakcji i dyskusji większej liczby osób.

Po Kongresonie odbyła się demonstracja 1 Maja, na której najciekawszym momentem była przemowa przedstawiciela strajkujących pocztowców i wygłoszenie deklaracji likwidacji państwa polskiego przez anarchistkę z Warszawy. Frekwencja była jak na tego typu marsze niezła, a protestujący spotkali się z pozytywną reakcją wielu Wrocławian.

Bonawentura Piżmak

KAPTURY W GÓRĘ!

Trochę kropi, ale nie na tyle, żeby bluza zdążyła namoknąć. Autobus powinien przyjechać za 3 minuty, więc ten czas wykorzystuję na przełożenie kilku rzeczy do kieszeni spodni. Szczyryk, zapalniczka, marker, paczka zszywek i bandana. W plecaku zostały plakaty, gazety, zszywacz, woda i parę innych przedmiotów.

Im bardziej autobus zbliża się do centrum miasta, tym bardziej robi się szaro. Niestety zaczyna coraz mocniej padać, a wiatr przybiera na sile. Z losowych przyczyn tego dnia przyszło nam działać w dwuosobowym składzie. Kaptury w górę i kwadrans po piątej ruszyliśmy do akcji. Wykorzystaliśmy te krótkie przerwy od deszczu na rozwieszanie plakatów. Partner obserwuje, czy nie ma żadnego zagrożenia w postaci radiowozu, a w mojej głowie słyszę tylko strzały zszywacza: Klang! Klang! Klang! Klang! Jeden z plakatów właśnie zawisł. Wyciągnąłem drugi, ale dostałem sygnał od partnera, że zbliża się suka. Chowam plakat z powrotem pod bluzę i oddalam się spacerkiem parę metrów dalej, dopóki radiowóz się nie oddali. Minutę później kolejny plakat spokojnie zawisnął na tablicy ogłoszeniowej.

Ruszamy dalej. Zaczęła się burza. Kompletne zadupie, dookoła same domy, z nieba leci grad i słyszemy uderzającą w ulicę dalej błyskawicę. Nie mamy jednak wyboru i szybkimi krokami idziemy dalej. W butach słyszymy tylko chlupącą wodę. Pół godziny później burza skończyła się tak gwałtownie, jak się rozpoczęła. Dotarliśmy na jedno z osiedli, gdzie mieliśmy zamiar zostawić całą stertę gazety A-TAK. Niektóre klatki były niezabezpieczone, więc dostaliśmy się do nich bez żadnych problemów. Jeden z nas sprawnie pakuje A-TAK do skrzynek, a drugi stoi za plecami z ciężkim przedmiotem w ręku i patrzy, czy ktoś nie chce wejść do bloku lub zejść z góry na klatkę schodową. Niestety, rozprowadzanie anarchistycznych gazet nie jest mile widziane w tamtych stronach - stąd te środki ostrożności. Niezabezpieczone klatki się skończyły, a w plecakach zostało jeszcze trochę gazet, więc ruszyliśmy w kierunku tych zabezpieczonych. Kilka nieudanych prób, aż w końcu po głupim tekście „dobry wieczór, gazeta miejska” wpuszczono nas do jednego z bloków. Zostawiliśmy w skrzynkach to, co mieliśmy zostawić i oddaliśmy się pospiesznie.

Teraz miała zacząć się ta ciekawsza część. O ile wcześniej zagrożeniem były tylko radiowozy lub pojedyncze karki, teraz do tego pakietu miały dołączyć całkiem spore grupki kiboli, a nam skończyły się już gazety i tablice ogłoszeniowe. Ale cały wieczór w naszych plecakach brzęczały puszkami ze sprejami. Trzeba się było zabrać za ich kipiące nienawiścią grafy.

Zdecydowaną wadą wychodzenia w dwójkę na akcję jest to, że w przypadku konfrontacji z większą grupą nie mamy szans, nawet ze sprzętem. Nie ma co liczyć na

to, że z całej bandy wystąpi tylko dwóch kiboli i staniemy do pojedynku, a reszta będzie patrzeć beczynnie na rozwój wypadków. W żadnym razie. Rzucą się watahą, przy okazji wykonają kilka telefonów i całe osiedle jest postawione na nogi. Ale plusem jest niezwykła mobilność. O wiele cięższej jest wypatrzyć dwójkę typów i domyślić się, że mają podejrzaną zamiary, niż 6-8 osobową ekipę, całą na czarno, z plecakami i chustami na twarzach.

Dlatego przemykaliśmy od jednego bloku do drugiego i żadnemu z mijających nas ludzi nawet nie przyszło na myśl, co kombinujemy. Nacjonałści lubują się w malowaniu celtyków gdzie się tylko da, najczęściej przy nazwie klubów, wplatając je w litery. Wyciągam bandanę, którą zakrywam twarz i chronię płuca. Najpierw odpadam mniejsze celtyki i te, które są bardziej ukryte. Jeden, dwa. Teraz zaczyna się zabawa, bo parę celtyków nacjonałści nakreślili tuż przy głównych ulicach. Kręcę się przy ścianie, pod bluzą trzymam puszkę, wprawy mam na tyle, że nie wydaje żadnych dźwięków. Kawałek ode mnie stoi partner, tak jak ja szuka zagrożenia. Kiedy mam poczucie, że teren jest czysty, wyciągam rękę po puszkę, ale zaraz ją cofam. Z uliczki 20 metrów dalej wyjeżdża BMW z paroma karkami. Mieszanka szczęścia, sprytu, ostrożności i czystego przypadku miała jeszcze nie raz nas uratować tego wieczoru. Zanim celtyk zniknął ze ściany, minęło jeszcze dobrych kilka minut. Idziemy w kierunku następnego. Ten jest największy i umiejscowiony w najgorszym miejscu. Dwie ulice dalej jest komisariat. Partner znowu uważnie studiuje okolice. Wystarczy dyskretny znak od niego i wycofuję się, udając, że czytając rozpiskę autobusową, a tak naprawdę dziękuję w duchu, że mogę działać z kimś, kto zna się na rzeczy, nie ucieknie, będę z nim mógł się bić i uciekać, jeśli będzie trzeba. Zdarzyło mi się iść na akcję z kimś, kto nie podchodzi do tematu na poważnie, więc tym bardziej doceniam kolegę po fachu.

Dwa radiowozy, kilka groźnych spojrzeń rzuconych przez przypadkowych napinaczy, jedna w ostatniej chwili zauważona kamera i to tyle jeśli chodzi o atrakcje na rzekomo n a j g o r s z y m o s i e d l u w mieście. Mijając po drodze przypadkowych nacjonałistów, nie mogliśmy się powstrzymać od drwiących uśmiezków. Już jutro rano zauważą małe poprawki w swoich dziełach i będą sobie wyrwać włosy z głowy. Ale może to ich nauczy, że bycie rasi-stowską pałą się nie oplaca.

Mogą być ich dziesiątki, setki. Mogą biegać po mieście z kasetami, teleskopami. My nie mamy zamiaru odpuszczać. Jesteśmy tym, co spędza im sen z powiek, jesteśmy krzykiem sprzeciwu wobec ich działań. Educate, Agitate, Organize !

Grafoman (Fb/grafoman)

WSZYSCY JESTEŚMY NEGANEM? CZYLI ANARCHIA W ŚWIECIE ZOMBI

Wyobraźcie sobie, że budzicie się rano i dowiadujecie się, że nie ma już urzędników i polityków, policji i wojska, a granice państw przestały istnieć. Pięknie, prawda? Marzenie każdego anarchisty. W tym rajku tkwi jednak szkopuł – apokalipsa zombi...

Filmów o krwiożerczych truposzach było już mnóstwo. Zombi przedstawiano jako budzące się jedynie w nocy niegroźne niby-wampiry („Ostatni człowiek na Ziemi”, 1964), stroniące od światła inteligentne i zwinne bestie („Jestem legendą”, 2007), włączające się dniami i nocą zwłoki, podgryzające co popadnie („Noc żywych trupów”, 1968) i różnego rodzaju wariacje, np. zombi-frankensteino-robot (cała seria filmów „Resident Evil” z lat 2002-2016 jest tym przesiąknięta). Tytułów były dziesiątki, jeśli nie setki. W tych filmach ludzie często stawali się zombi przez zarażenie wirusem lub ugryzienie przez truposza. Wirus wydostał się z laboratorium rządowego, władza z kolei umywała ręce i zniknęła bądź zacierala za sobą ślady.

W samej koncepcji zombi, wywodzącej się bezpośrednio z wierzeń voodoo, dostrzegam dziś tanią rozrywkę. Ewentualnie – zwrócił na to uwagę pisarz i felietonista Krzysztof Varga – krytykę konsumpcjonizmu, np. bezmyślne istoty gromadzące się pod supermarketem. Umarłaki pojawiły się w teledysku Michaela Jacksona „Thriller” z 1983 r., a także w filmie „Zombie SS” (2010), którego fabuły nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć. Popkultura zrobiła swoje...

Do zacnego grona filmów o zombi zalicza się serial „The Walking Dead” (pol. „Żywe Trupy”), którego siódmy sezon zakończył się na początku kwietnia. Film oglądam od samego początku (czyli od 2010 r.) i śmiało mogę powiedzieć, że miał swoje „wzloty i upadki”, ale ostatni sezon dał mi bardzo dużo do myślenia. Oczywiście to raczej zasługa twórców komiksu, na podstawie którego stworzono serial, lecz pochwalic trzeba i twórców serialu.

Krótki zarys fabuły: USA, czasy współczesne. Policjant Rick zostaje ranny podczas strzelaniny. Po jakimś czasie budzi się ze śpiączki w opuszczonym szpitalu. Na końcu korytarza, za wielkimi drzwiami, dobiegają go

dziwne jęki. Przeżony Rick ucieka z budynku, przechodząc obok stosów zwłok. Chce odnaleźć rodzinę. Po drodze spotyka zombi – gnijące, powolne stwory, których ugryzienie lub zadrapanie może sprawić, że przemieni się w jednego z nich. Rick odnajduje bliskich i innych ludzi (różnych ras, narodowości i orientacji seksualnych), z którymi stara się przetrwać w nowym świecie. Z czasem zostaje ich przywódcą, ponieważ jest dobrym strategiem. Wspólnie wyruszają przed siebie w poszukiwaniu ocalałych, zadając sobie pytanie „Co dalej?”.

Postaci i wątków w tych siedmiu sezonach (99 odcinków, ponad 40 godzin) było mnóstwo i nie ma sensu nawet brać się za ich wymienianie. Historia opowiedziana w „The Walking Dead” jest pretekstem do pokazania tego, jak bardzo relacje międzyludzkie mogą zmienić się z dnia na dzień. No i rzecz najważniejsza – film zmusza nas, anarchistów, do zadania sobie pytania: „A gdy upadną państwa, co wtedy będzie?”. Zwróć uwagę na kilka spraw – na to, jak wygląda anarchia w świecie zombi.

■ WŁASNOŚĆ

Decyduje prawo silniejszego. Po starym świecie zostały puste budynki, które nie mają już swoich właścicieli. Możemy więc śmiało stwierdzić, że Rick ze swymi kompanami je skłotują. W jednym sezonie udaje im się nawet zeszkłotować więzienie. Grube mury i ogrodzenie chronią ich przed niebezpieczeństwem. Co się tyczy innych rzeczy, takich jak pojazdy, przedmioty codziennego użytku i pożywienie, to mówiąc dosłownie, leżą na ulicy. Kto pierwszy, ten lepszy.

■ KOLEKTYW

Wspólnota, którą najlepiej poznajemy, to oczywiście towarzysze Ricka. Nie odwołują się do żadnych ideologii, mędrców i proroków. Każdy musi jeść i mieć gdzie spać. Wspólnota,

której przewodzi Rick, rozdziela pracę według doświadczenia zawodowego i możliwości danej osoby. Myśliwy poluje na zwierzynę (dobrze też strzela do zombiaków), lekarz leczy, a inżynier projektuje zagrodę. Jeśli grupa nie ma takiego luksusu, to improwizują. Każdy jednak może uprawiać grządkę z marchewką.

■ DOBRO I ZŁO

To jedna z ważniejszych kwestii w postapokaliptycznym świecie. W pewnym momencie rozumiemy już, że prawdziwym zagrożeniem nie są żywe trupy, ale inni ludzie. Bohaterowie w czasie swej wędrówki znajdują również inne miasta-państwa (bo tak teraz funkcjonują społeczności) i mają z nimi różne relacje, czasem jest to handel, a czasem walka o życie. Nasi bohaterowie spotykają też na swej drodze różnego rodzaju gangi, które próbują odebrać im żywność, pojazdy lub przegonić ich z miejsca, które akurat zamieszkują. Do takiej sytuacji doszło we wspomnianym wcześniej więzieniu. Mężczyzna mieniący się Gubernatorem, zaatakował więzienie i zniszczył ogrodzenie, wjeżdżając tam czołgiem (odczytanie metaforyki pozostawiam czytelnikom), przez co wpuścił na teren zombiaki.

Prowadzeni przez narrację serialu, kibicujemy rzecz jasna Rickowi. Zdajemy sobie sprawę, że często musi podejmować trudne decyzje. Perspektywa jest trochę zachwiana, ponieważ bohaterowie codziennie zabijają ludzi – zombiak to dalej człowiek. Na swej drodze Rick natrafia na miasteczko kanibali oraz na szpital zarządzany przez policjantów i lekarzy. Żadne z tych miejsc nie okazuje się przyjazne dla bohaterów serialu. W przedostatnim sezonie nasz ulubiony kolektyw pomaga innemu miastu uporać się z nękającym ich – jak się wydaje – gangiem. W nocy Rick wraz ze swoim oddziałem szturmowym włamują się

do ich siedziby i zabijają kilkadziesiąt osób, gdy te śpią. Dobrzy zabili złych, prawda? Chcemy w to wierzyć! I wtedy pojawia się On...

NEGAN – to przywódca wspólnoty (gangu?), która nazywa siebie Zbawcami. Negan jest pierwszym przywódcą postapokaliptycznej wspólnoty, który rezygnuje ze współpracy z innymi miastami-państwami, ale nie uważa też, że atakowanie i grabienie ma jakikolwiek sens. Negan zarządza – mówiąc wprost – zasobem ludzkim. W swojej siedzibie (prawdopodobnie przestrzeń po fabryce). Zbawcy dzielą się na dwie kasty: uprzywilejowanych (strażników, zaufanych ludzi Negan) oraz ludzi pracujących fizycznie. Dodatkowo Zbawcy ściągają co tydzień daninę w wysokości połowy zapasów zastraszonych przez nich miasteczka. Nieposłuszeństwo karane jest śmiercią – często okrutną. Zamiast wytluc wszystkich nieposłusznym, Negan używa Lucille – kija baseballowego owiniętego drutem kolczastym i zmusza wszystkich, aby oglądali, jak zabija wybrane osoby. Swich podwładnych karze łagodnie... przypiekając ich rozgrzanym żelazkiem. Jak udaje mu się sprawować tak okrutne rządy? Jednym ze sposobów manipulacji Negan jest slogan: „Wszyscy jesteście Neganem”. Przez to przywódca daje poczucie siły wspólnocie, ale również obarcza ją współodpowiedzialnością. „Wszyscy jesteście X” – pod X możemy postawić, co tylko chcemy: narodowość, rasę, postawę społeczno-polityczną itd. Proste? Proste i działa.

Co dalej? Kiedy pod koniec szóstego sezonu Negan urządza zasadzkę na Ricka i część kolektywu, mówi mu: „Kiedy wysłałem moich ludzi, żeby zabili twoich ludzi, za zabicie moich ludzi, ty zabiłeś więcej moich ludzi. Bardzo niefajnie”. Negan używając Lucille, zabija kilka

osób, jedną porywa, a grupa Ricka jest zmuszona do oddawania połowy swoich zbiorów. Zostają rozbrojeni, lecz Zbawcy zapewniają ich o swojej ochronie. Z czasem dochodzi do tego, że odbierając daninę, Zbawcy zaczepiają i biją poddanych im ludzi, zaznaczając przy tym, że nie wolno się bronić. Czy Negan tworzy coś w rodzaju państwowości? Jak sam mówi, tworzy Nowy Porządek Świata.

Jak ocenić tę historię? Kto jest dobry, a kto zły? Niby nasi bohaterowie są dobrzy, ale i oni zabili wielu ludzi w „słusznej sprawie”. Jak skończy się ta historia? Zachęcam do oglądania serialu i czytania komiksów o „Żywych Trupach”.

Na koniec warto się zastanowić nad tym, jak my – anarchiści – odnaleźlibyśmy się w świecie zombi. Jaki świat byśmy zbudowali? Zaglądając w otchłań Internetu, widzę niekończące się w naszym środowisku niesnaski. Wydaje mi się, że ludzie mówiący o „pomocy wzajemnej”, „tolerancji”, „anarchii” i – koniec końców – „wolności”, często życzą tego wszystkiego sobie samym. Dostrzegam dogmaty, fanatyzm, zamknięcie się we własnym środowisku. Zastanawiam się wtedy, co by się stało, gdyby nasz świat zaatakowały zombi (a może już atakują pod postacią ONR-u?). Czy państwa-miasta, np. anarchokomunistów i anarchoindywidualistów współpracowałyby ze sobą? A może wyróżniłyby się przy pierwszej możliwej okazji? Który kolektyw pierwszy uznałby, że posiada lepszy pomysł na zarządzanie światem? Czy potrafilibyśmy poświęcić innych w imię wyższych idei? W którym kolektywie pojawiłby się Negan? A może wszyscy jesteśmy Neganem?

Kapitan Flint



Kadr z serialu „The Walking dead”

„PRZEŁĘCZ OCALONYCH” JAKO PROBLEM

Po ataku na Pearl Harbor do amerykańskiej armii zaciąga się Desmond Doss. Ze względu na wiarę (jest adwentystą) nie chce na wojnie zabijać. Za swoją decyzję jest wyśmiewany i prześladowany, ale przełożeni przyznają w końcu, że prawo zezwala na taką postawę. W walkach z Japończykami heroicznie działa jako sanitariusz - chce ratować życie, a nie je odbierać. Kolejnymi czynami wzbudza zaufanie i podziw wśród towarzyszy broni. Po latach mówi, że po prostu działał przyzwyczajenie i w zgodzie z „bożymi przykazaniem”.

Technicznie (aktorsko, reżysersko) „Przełęcz ocalonych” to bardzo dobry film, natomiast ideowo jest co najmniej problematyczny. Schematy propagandówek wojennych, ze wszystkim motywami od „zubięcia do lubie-

nia” między rekrutami po traktowanie wroga (tu Japończyków) jako zdehumanizowanej masy atakującej zindywidualizowanych bohaterów są tu obecne, ale pokazane w (pozornie) innym kontekście. Wojna w „Przełęcz ocalonych” nie jest imperialistycznym interesem, ale duchowym niemal doświadczeniem, kolejną przestrzenią życia, w której z pokorą przyjmuje się wyroki boskie i żyje godnie.

Głównym bohaterem jest obdżektor (osoba odmawiająca służby wojskowej z powodów etycznych i światopoglądowych), co jest samo w sobie ciekawe. Film zrobił jednak głęboko wierzący (tzw. starokatolicyzm) Mel Gibson. Bohaterem uczynił Desmonda Dossa, adwentystę dnia siódmego. Na starcie więc motywacja antywojenna czy wegetariańska ma

charakter moralno-religijny, a nie ideologiczny, nie podważa tak naprawdę ani wojny, ani wojska. W rezultacie film stwarza nam poczucie, że można uczestniczyć w militarnym konflikcie bez karabinu, że nie trzeba dezertować, dodatkowo Bóg nam pomoże.

Ukazanie Japończyków, ale też Amerykanów, w ogóle całej tej historii, broni się jedynie jako moralitet o mistyczno-religijnym charakterze. Nic dziwnego. Gibson ma taką perspektywę od czasu „Pasji”. To nie konflikt racji ekonomicznych czy ideologicznych, ale starcie Dobra ze Złem. Ciekawe, że film ten powstał na tle nowej fali pochodzącej konserwatywnej prawicy w Zachodniej Europie i Ameryce Północnej. Towarzyszy mu wysyp tzw. „Christian movies” – propagandowych ob-

razów „chrześcijańskich”, mających pełnić funkcję katechez (zrzekających się przy tym sztuczności, ale już nie funkcji komercyjnej – „Bóg nie umarł” zarobił np. 60 mln dolarów). W Polsce nurt ten reprezentuje choćby: „Zerwany kłosa” zrobiony na polecenie redemptorysty Tadeusza Rydzyskiego, założyciela znanego ze skrajnie prawicowych treści Radia Maryja. Film Gibsona reprezentuje niejako najbardziej artystycznie świadomy wariant tego nurtu, w pewnym sensie też polemikę z jego założeniami, pozostając jednak jego częścią – jest to bowiem mimo wszystko również rodzaj katechezy.

Kupując wizję Gibsona, musimy zaakceptować niuans tego spojrzenia, jego religijny charakter. Mimo wszystko to wciąż jeden z niewielu filmów o obdżektorach. Ostatecznie taka wojenna tradycja i tak jest lepsza niż „Zielone Berety” czy nasze filmy o Wyklętych.

Krzysztof Kotacki

POKOT INSUREKCJA WG AGNIESZKI HOLLAND

Koniec patriarchalnego świata mógłby wyglądać tak, jak to pokazuje Agnieszka Holland w filmie „Pokot”. Hierarchiczny układ sił w małej miejscowości w Kotlinie Kłodzkiej - legitymowany przez księdza myśliwego - zostaje ukazany poprzez środowisko myśliwych, dyktujących stosunki podległości, uwikłanych w hazard, prostytucję, skórowanie lisów na futra oraz inne formy przemocy. Kryminalne konszachty przypieczętowane zostają podczas krwawego polowania. Muzyka w scenie otwierającej film ujawnia zbrodnię: terenowe maszyny myśliwych rozjeżdżają górzystą polanę, na której bandyci pod osłoną nocy gromadzą się, by postrzelać dla przyjemności do dzikich zwierząt i tym samym przelać krew w imię panowania w miasteczku. Mechanizm ucisku władzy, sprawowanej przez lokalnych zwyrodniałców, zostaje zobrazowany w filmie na grupie wykluczonych, pozornie słabszych osób - w tym świata zwierząt, mikroorganizmów, larw i owadów.

Corin Bruce w artykule „Zielony anarchizm - w stronę zniesienia hierarchii” w polskim tłumaczeniu MarSe pisze, że nie jesteśmy w stanie zrozumieć żadnego z wariantów dominacji, nie mówiąc już o przeciwstawianiu się im, dopóki nie przyjmujemy, że różne rodzaje przemocy mają te same korzenie; oznacza to, że poszczególne przypadki dominacji nie istnieją w odseparowaniu od innych i błędem jest analizowanie ich poza układem hierarchicznym.”

Reżyserka podejmuje próbę afirmacji różnych, odmiennych od utrwalonych heteronormatywnych, form podmiotowości. Sama główna bohaterka - Duszejko - to emerytowana kobieta inżynier, miłośniczka astrologii i wegetarianizmu, żyjąca w drewnianej chacie na skraju lasu. Kiedyś budowała mosty na Bliskim Wschodzie, teraz pracuje jako charyzmatyczna nauczycielka języka angielskiego. Mieszka samotnie z dwoma psami (suczkami) w Sude tach. Jest wcieleniem współczesnej, świadomej kobiety, która gromadzi wokół siebie innych wykluczonych: wykorzystywaną przez lokalnego gangstera pracowniczkę lumpeksu Dobrą Nowinę (jak ją dobrotnie nazywa Duszejko), neurotycznego pedanta Matogę (który po śmierci żony chciał wysadzić w powietrze budynek ówczesnej Kasy Chorych) oraz chorego na epilepsję minimalistę/geniusza komputerowego Dyzia (który w swoim mieszkaniu posiada jedynie 80 rzeczy).

„Zielony anarchizm dąży do zniesienia hierarchii w ogóle, koncentruje się nie na tym, jak traktujemy członków naszego gatunku, ale w jaki sposób odnosimy się do bytów nie będących ludźmi.”

Akcja filmu zostaje zawiązana pewnej zimowej nocy, kiedy to Duszejko wraz z Matogą odnajdują ciało sąsiada - kłusownika. Kobieta znajduje w chacie - obok spreparowanych głów saren - również zdjęcie z pokotu, na którym sfotografowali się myśliwi po polowaniu. Według słownikowej definicji pokot to „ubita zwierzy-

na ułożona na ziemi według hierarchii łowieckiej” - czyli zwyczajowo: trupy dzikich zwierząt ułożone obok siebie na świerkowych gałązkach. Duszejko odkrywa na zdjęciu zbrodnię na jej dwóch sukach, które traktowała jak córki. Treść zdjęcia zostanie ujawniona widzom dopiero na samym końcu filmu jako klucz do rozszyfrowania intrygi kryminalnej. Widzowie obserwują serię tajemniczych morderstw, których ofiarami padają myśliwi. Główna bohaterka filmu staje po stronie ich ofiar - czyli po stronie zwierząt i przemawia w ich imieniu. Po kolei giną lokalni oprawcy, a podejrzanie pada na zwierzęta mające mścić się za wyrządzaną im krzywdę.

„Odczuwanie, rozumiane jako zdolność do bycia świadomym świata albo, innymi słowy, zdolność do samodzielnego zdobywania doświadczenia, stanowi kluczowe pojęcie dla kwestii praw zwierząt, ponieważ rozumiane jest jako umiejętność odczuwania bólu i przyjemności. Prowadzi to do prostego wniosku, że każde, świadome nie-ludzkie zwierzę, takie jak świnia, osioł czy ryba, będąc zdominowanym w strukturze hierarchii ponosi szkody i cierpi z tego powodu w takim samym stopniu jak człowiek”.

Agnieszka Holland broni postulat, że nie ma wyzwolenia zwierząt bez wyzwolenia kobiet i pozornie słabszych istot. Zadaje pytanie o status osób wykluczonych społecznie, w tym zwierząt i mikroorganizmów, jako podmiotów w walce z systemem. Przedmiotem poszerzenia wrażliwości widzów, obok przejmujących scen cierpienia zwierząt postrzelonych podczas polowań czy ujęć zagłodzonych lisów hodowanych w małych, metalowych klatkach na futra - stają się również rzeczy pozornie błahe, takie jak pióra kaczek w puchowej kurtce głównej bohaterki. Hochsztaplerów i lokalnych rzeźmieszków czeka w filmie niechybna śmierć z rąk - delikatnie przerysowanych - ale jednak, bądź co bądź, „insurekcyjistów”. Więzione w klatkach lisy zostają uwolnione. Kościół płonie. Książ ginie w płomieniach przywalony myśliwską amboną. Matoga - ekspert od dynamitu - wysadza w powietrze mostek, czym utrudnia dojazd policji do domu Duszejko. W kulminacyjnym momencie Dyzio - przy pomocy oprogramowania komputerowego monitorującego oświetlenie w miasteczku - symbolicznie (jednym kliknięciem) przejmuje władzę nad patriarchalnym światem. Film kończy idylliczna scena wspólnego, wegetariańskiego obiadu.

Z drugiej jednak strony wobec Agnieszki Holland pada zarzut o mało radykalne zakończenie. Poza tym sama reżyserka przyznaje, że przy produkcji filmu bardzo pomogli jej myśliwi, którzy „użyli scenografii” do filmu - czyli, mówiąc wprost, przywieźli na plan zwłoki zastrzelonych w świetle prawa zwierząt. W filmie pojawia się jednak informacja, że: żadne zwierzę nie ucierpiało podczas jego kręcenia.

W dobie narastających w Polsce i na świecie nastrojów nacjonalistycznych, film taki jak „Pokot” jest skarbem. Ujawnia bowiem przestępstwa uprzywilejowanej grupy rządzących, ukazuje hipokryzję księży, którzy legitymują zbrodnię myśliwych, żeby najeść się do syta kotletem i sprawować władzę nad rządem otepiałych dusz.

Jako Poznaniacy Przeciwko Myśliwym wzięliśmy udział w premierze filmu z udziałem ekipy filmowej i prezidenta Jaśkowiaka. Zabraliśmy głos w panelu dyskusyjnym po filmie. Okazało się, że nie bez powodu Poznań jest szczególnym miejscem na prapremierę „Pokotu”. Mamy wrażenie, że nasz głos w tym wydarzeniu (przeciwko myśliwskiemu lobby) był świadomym wyborem organizatora.

Poznaniacy Przeciwko Myśliwym

WYWIAD Z AGNIESZKĄ HOLLAND PO PREMIERZE FILMU „POKOT”

Poznaniacy Przeciwko Myśliwym: Po premierze przyznają Pani rację i zgadzam się z tematem filmu, że myśliwi to grupa, na przykładzie której można ukazać różne formy patologii społecznej. Pomimo tego, że myśliwych w Polsce jest zaledwie 120 000, są bardzo wpływową grupą społeczną. Myśliwi mają bardzo dużo wspólnego z władzą - nie tylko parlamentarną - ale (tak jak to Pani pokazała w filmie) z władzą kościelną, policyjną, albo po prostu często są to nasi szefowie w pracy, osoby które lubią dominować. W trakcie blokad polowań spotykamy się z typowym „polskim chamstwem” często pijanych myśliwych, oraz z zachowaniami seksistowskimi wobec dziewczyn, które biorą udział w blokadach. Abstrahując od poruszonych w filmie wątków feministycznych, obawiam się, że dla większości zgromadzonych tutaj widzów teza, którą Pani formułuje w filmie - że zwierzęta są istotami czującymi - może być niezrozumiała. Sam fakt postawienia znaku równości pomiędzy zwierzęciem i człowiekiem i potraktowanie zabójstwa zwierzęcia tak samo jak zabójstwa człowieka, może okazać się dla większości społeczeństwa polskiego niezrozumiała. Nie mówiąc już o wycince drzew i nowej ustawie Szyszki. Rzeź drzew dokonuje się teraz, na naszych oczach, a społeczeństwo zdaje się tego nie dostrzegać. Po prostu wydaje nam się, że świadomość ekologiczna jest dosyć niska więc pokazanie „Pokotu”, to wrzucanie polskiego społeczeństwa na głęboką wodę. Czy nie bała się Pani poruszyć tego tematu w filmie?

Agnieszka Holland: Nie bałam się, bo się nie boję po prostu. Zdawałam sobie sprawę, że w Polsce jest to temat w dużym stopniu nierozpoznany, chociaż ta wrażliwość się poszerza. Poszerza się również dzięki działaniom obecnej władzy. Kiedy zorientowaliśmy się, gdzie przebiega pole walki tej kontrrewolucji kulturowej, to okazało się, że akurat są to te dwie sfery, które są głównymi tematami naszego filmu, to znaczy: podmiotowość kobiet i ekologia (akurat tu chodzi głównie o cierpienie zwierząt, ale również o stosunek do natury, do planety). I okazuje się, że podobny przebieg tego konfliktu - pomiędzy wrażliwościami i mentalnościami - obserwujemy nie tylko w Polsce, ale również np. w Stanach Zjednoczonych. Nie przypadkiem jeden z ministrów obecnego polskiego rządu, w wywiadzie do gazety niemieckiej, powiedział, że obecna władza nie utożsamia się z takimi obywatelami jak ekolodzy, wegetarianie i cykliści, bo to nie są prawdziwi Polacy. A inny w ogóle zanegował istnienie zmian klimatycznych czy globalnego ocieplenia - podobnie z resztą jak Donald Trump. Coś się takiego stało, że te tematy stały się polityczne i stanęły w środku pewnego rodzaju wojny kulturowej czy wojny politycznej. I to jest w związku z tym ciekawe, żeby sztuka w to weszła, bo ona ma inne narzędzia i w innej sferze operuje. Więc wydaje mi się w jakimś sensie, że to tym lepiej. I teraz, czy to się zmienia?

Tak. Ta wycinka drzew, którą sobie minister Szyszko wymyślił i przeprowadził przy pomocy swoich posłów, wygląda prawie tak, jakbyśmy my byli lobbystami (dystrybutorzy i producenci tego filmu) i zapłacili im, żeby oni to przeprowadzili. No bo nagle wszyscy o tym mówią i nagle to, co wydawało się kiedyś kompletnie jakimś niszowym tematem (oprócz kilku ekologów, którzy przykuwali się do drzew), teraz jest tematem nośnym. Wszyscy o tym mówią i czują, że wycinka drzew to coś strasznie złego i groźnego. Nie wiem czy wszyscy, ale ogromna ilość ludzi nagle uwrażliwiła się na to. Jeśli chodzi o zwierzęta, to żyjemy w pewnej schizofrenii. Z jednej strony Polska jest krajem, w którym najwięcej ludzi w Europie ma zwierzęta domowe. Czyli uznają ich emocjonalność i mają potrzebę emocjonalną, żeby z nimi przebywać. I niejako humanizują zwierzęta. Jeżeli ktoś ma kota albo psa, to musi być jakimś zwyrodniałcem, żeby go zarznął i zjadł. A z drugiej strony, jaka jest różnica pomiędzy kotem a świnią? Świnia jest nawet inteligentniejsza i bliższa człowiekowi, już nie mówiąc o tym, że nasze organy są najbardziej podobne do organów świni. Myślę, że ta wrażliwość się poszerza na przestrzeni wieków. Kiedyś się uważało, że dziecko nie jest człowiekiem, tylko własnością rodziców i można je zabić, i nie grozi za to żadna kara. Do niedawna również kobiety były tak traktowane, a w niektórych krajach nadal są tak traktowane. Chłopi pańszczyźniani, niewolnicy czarni w Ameryce, homoseksualiści... po prostu nasza wrażliwość się coraz bardziej posuwa, także z wiedzą, którą mamy. Wiemy coraz więcej o psychologii zwierząt. Wiemy coraz więcej o ich emocjach. Możemy oglądać filmy pokazujące, jak one reagują na określone sytuacje. Coś podobnego się dzieje z wrażliwością na życie prenatalne, na rozwój płodu. Już nie patrzymy na to tak, jak kiedyś, kiedy to była jakaś abstrakcja zupełna. Teraz możemy to obserwować na zdjęciach. I to bardzo zmienia nasz stosunek i pogłębia wrażliwość. Jest też coś pozytywnego w tym rozwoju. Nie jest tak, że się huśtamy pomiędzy jedną masakrą a drugą. Wydaje mi się, że jako ludzkość, jako ludzie - czegoś się uczymy. W każdym razie trzeba mieć taką nadzieję i ta nadzieja daje siłę, żeby próbować poszerzać wrażliwość, budzić wyobraźnię i empatię.



Agnieszka Holland z ekipą Poznaniacy Przeciwko Myśliwym na premierze „Pokotu” w Poznaniu



ZWIERZĘTA, SAMOCHODY I MIĘSO „Z PROBÓWKI”

Do napisania tego artykułu sprowokowała mnie pewna dyskusja. Odbyła się kilka miesięcy temu w Łodzi, mieście, które narodziło się dzięki potędze industrializacji. W małym gronie debatowaliśmy o rozwoju przemysłu i przetwórstwa mięsnego oraz jakie znaczenie mają w tym względzie nowe technologie. Ścisłej, choździło o pojawiające się spekulacje na temat „mięsa in vitro” w kontekście praw zwierząt, czyli uniezależnienia pozyskiwania mięsa od masowej hodowli. Byłoby ono namnażane „z próbówki”.

Produkcja ta - powiedziałem - jest obecnie bardzo droga i nie wiadomo czy kiedykolwiek możliwe będzie jej wdrożenie w życie na masową skalę. Jako przykład podałem oczekiwania w sprawie samochodów o napędzie elektrycznym, które - pomimo spekulacji trwających dobrych kilka dekad - nie mają większego znaczenia dla przemysłu motoryzacyjnego. Na to koleżanka z Łodzi odpowiedziała, że się mylę. W takiej Norwegii bowiem, samochód na prąd stał się faktem, wszędzie można doładować akumulatory i tylko patrzeć, jak ich produkcja zaleje Europę i świat. Wynikało z jej wypowiedzi, że należy patrzeć z większym optymizmem na rozwój technologii „mięsa in vitro”. Zamilkłem. Nigdy nie podróżywałem po Norwegii, a moja wiedza o najnowszych trendach w przemyśle samochodowym nie była na tyle dobrze ugruntowana, abym mógł podjąć rzeczową polemikę.

ENERGIA ZNA D FIORDÓW

Po powrocie do Poznania nie „odpuściłem” tematowi. Nowo rejestrowanych samochodów na prąd jest w Norwegii kilkanaście procent (ok. 15%) każdego roku. Czyli najwyższy co szósty nowy samochód wyjeżdżający na tamtejsze drogi, jest napędzany prądem. Nie bez znaczenia jest tu fakt, że Norwegowie mogli sobie pozwolić na uruchomienie tego programu z powodu wpływów - paradoksalnie - ze sprzedaży ropy naftowej z własnych złóż. W Europie tylko 0,5% nowo kupionych samochodów to auta elektryczne. Oznacza to, że udział samochodów z napędem akumulatorowym wśród ogółu aut, jest póki co minimalny. Dodatkowo można mieć uzasadnione przypuszczenia, że tym, co skłoniło firmy i rządy do szukania nowych rozwiązań, nie były kwestie stricte ekologiczne. W 2008 r. cena ropy naftowej wystrzeliła znacząco w górę i utrzymywała się na wysokim poziomie (80-110 \$ za baryłkę) przez większość okresu, do mniej więcej połowy 2014 r. Potem cena raptownie spadła o 1/2. To - wydaje się - ostudziło entuzjazm w sprawie samochodów elektrycznych nawet w samej Norwegii, gdzie do tej pory jednym głosem mówiły w zasadzie wszystkie siły polityczne, nie tylko Zieloni. Dziś pojawił się w tej dyskusji pewien dysonans i poparcie dla rozwoju tego typu motoryzacji wydaje się być mniejsze.

Norwescy właściciele aut elektrycznych posiadają znaczne ulgi, od podatkowych po możliwość darmowego parkowania. Koszty wsparcia tego projektu oczywiście ponosi państwo, do którego skarbu wpływy ze sprzedaży ropy - po przecenie surowca na międzynarodowych rynkach - znacząco stopniały. Koło się zamyka. Ale w mediach (siłą inercji) trwają entuzjastyczne przewidywania, nie tylko dotyczące Norwegii, ale także np. Niemiec.

Trzeba też pamiętać, że położenie Norwegii powoduje, iż energetyka wodna pokrywa zapotrzebowanie na prąd w 99%, zatem większy popyt na energię elektryczną ze strony motoryzacji nie oznacza większego popytu na paliwa kopalne (jak w Polsce na węgiel). Niestety inne kraje takiego „geograficznego szczęścia” nie mają. Polska jest w dużej części płaska jak naleśnik i w wielu miejscach stepowięjąca. (Pomijam potężną krytykę funkcjonowania energetyki wodnej, odpowiedzialnej w różnych regionach świata m.in. za utratę bioróżnorodności). Większym problemem, jak się okazuje, nie jest to, jak szybko samochodem na prąd można jechać i jak daleko dojechać, ale co się stanie kiedy (upraszczając), wszyscy zmotoryzowani zaczną podłączać swoje akumulatory do gniazdek. W Polsce trzeba by było więcej węgla, gdzie indziej być może energii atomowej, a zatem korzyści ekologiczne nie byłyby - delikatnie mówiąc - jednoznaczne.

KRYZYS NAFTOWY I MELEX

Historycznie rzecz biorąc, dyskusja na temat wprowadzenia samochodów elektrycznych powraca zawsze w okresie wyżki cen ropy naftowej i odkładana jest do lamusa, kiedy cena surowca spada. Na przełomie XIX i XX wieku, u początku rewolucji motoryzacyjnej, samochody elektryczne stanowiły 38% wszystkich aut, nieznacznie tylko ustępując parowym (40%) i wyraźnie wyprzedzając pojazdy spalinowe (22%). Koszt ropy naftowej w II połowie XIX wieku był jednak relatywnie wysoki, choć wyraźnie zaczął spadać pod koniec stulecia. W takich okolicznościach auto spalinowe ostatecznie opanowało rynek motoryzacyjny. Tendencja spadkowa (pomimo wahań) utrzymała się, aż do „kryzysu naftowego” w 1973 roku, kiedy ceny surowca poszybowały w górę. Na sile przybrała dyskusja dotycząca samochodów napędzanych energią elektryczną. W Polsce na przykład wiązało się to z nadziejami dotyczącymi Melexa. Ostatecznie tego typu pojazdy znalazły raczej wąskie zastosowanie np. na polach gol-

fowych (eksport) czy jako wewnętrzny transport na halach fabrycznych. Kiedy cena ropy z początkiem lat 80. XX wieku spadła, kwestie przestało traktować poważnie. Pojazdy akumulatorowe nie stały się konkurencją dla spalinowych, aż do kolejnego razu, czyli 2008 roku i dyskusji wokół naszego przypadku norweskiego.

Z historycznego punktu widzenia - napęd elektryczny w transporcie indywidualnym nie zyskuje wcale na znaczeniu (a nawet przeciwnie), choć oczywiście wahania cen oleju napędowego i benzyny powodowały liczne modyfikacje (np. upowszechnienie się samochodów małolitrażowych). Ostatecznie zamiast „kosmicznej technologii” Melexa (jak czasem był postrzegany w PRL-u), największym osiągnięciem polskiej motoryzacji po „kryzysie naftowym” stał się „maluch” (fiat 126p). Piszę bez ironii. To też oznacza, iż nie wykluczone jest, że obecnie dokona się pewna modyfikacja technologiczna. Pisma specjalistyczne (motoryzacyjne) są jednak bardziej sceptyczne od codziennej prasy i przewidują raczej co najwyżej powstanie samochodów hybrydowych (połączenie napędu spalinowego i elektrycznego). Pomimo ponad 100-letniego doświadczenia, jesteśmy jeszcze daleko od upowszechnienia się samochodów elektrycznych. I niewiadomo, wbrew pozorom, czy byłoby to bezwzględnie dla nas korzystniejsze.

OBIETNICA IN VITRO

Wracając do zwierząt. Warto w tym kontekście zwrócić uwagę, że transport, w tym przede wszystkim transport indywidualny, jest odpowiedzialny np. za masowe zgony zwierząt na drogach. W Polsce ocenia się, że pod kołami ginie minimum 100 tys. osobników - tak twierdzi Łowicz Polski (nr 3/2011 - miesięcznik PZŁ) - zaznaczając, że przypadków tych jest o wiele więcej, bo nie wszystkie są zgłaszane. Mowa tu przede wszystkim o zwierzętach łownych, kiedy więc dodamy np. płazy, ptaki, gryzonie itd., liczba ta może być naprawdę ogromna. Tutaj nie ma różnicy, czy pojazd jest spalinowy czy elektryczny, liczy się natężenie ruchu. Elektryczne auta nie są zatem lekarstwem na „wszelkie zło”.

Często wierzymy w to, że nowe technologie mają potencjał emancypacyjny: „mięso in vitro” wyzwoli zwierzęta od cierpienia, a samochody na akumulatory uwolnią społeczeństwa od smogu i (przynajmniej częściowo) klimatycznego ocieplenia. Mamy jednak prawo w to wątpić. Wiele już napisano o ideologicznej i indoktrynacyjnej funkcji technologii. Często „maskuje” ona tak naprawdę strategię marketingową, a celem jest np. przekierowanie środków publicznych na rzecz kapitału, który tracąc na rentowności, poszukuje nowych rozwiązań, mogących uratować zyski. Jesteśmy równolegle tak zakorzenieni w technologicznym dyskursie, że nie dostrzegamy, iż częściej technologia jest źródłem problemu, niż jego rozwiązaniem. Albo redukując jeden, staje się przyczyną innego, nie mniej poważnego (często poważniejszego). Lub - jak pisałem w poprzednim akapicie - ignoruje niektóre z nich.

CO ROBIĆ?

W takim momencie pada zwykle sakramentalne „co robić?”, żeby nie popaść w nihilizm. Ruch ekologiczny już odpowiedział na to pytanie i póki co nie ma - moim zdaniem - lepszego rozwiązania jak transport zbiorowy. Od wielu dekad jest on w dużej części zasilany energią elektryczną: pociągi, tramwaje, trolejbusy. W centrach aglomeracji miejskich samochody muszą ustąpić miejsca nie tylko komunikacji publicznej, ale i rowerom. W to należy inwestować środki publiczne, a nie w ulgi (pod taką czy inną postacią) dla producentów aut.

Nie wiermy też, że „mięso in vitro” położy kres cierpieniom zwierząt, negatywnym skutkom ekologicznym masowego chowu i degradacji pracy ludzkiej w ubojniach. Istnieje sposób prostszy i praktykowany od lat: wegetariańska, a jeszcze lepiej wegańska dieta. Jeżeli mięso jest jeszcze problemem, to nie dlatego, iż postęp technologiczny jest zbyt wolny, ale z powodu jego zaniżonej ceny na rynku. Przemysł mięsny nie ponosi wszystkich kosztów swojego funkcjonowania (koszty zanieczyszczenia środowiska), hodowla jest często dotowana, a koszty pracy zaniżane. Dodatkowo utrzymuje się w mediach przekonanie (poparte pieniędzmi od reklamodawców), że produkty pochodzenia zwierzęcego (jak szynka czy szklanka mleka) są kwintesencją pożywnego pokarmu dla człowieka. Środki publiczne należy inwestować nie w dotowanie produkcji zwierzęcej, ale w np. żywienie zbiorowe proponujące dietę roślinną. Nie czekajmy zatem, aż badania i wdrażanie produkcji „mięsa in vitro” pochłoną ogromne publiczne pieniądze, a produkt ostatecznie zostanie opatentowany przez jakąś korporację - przestańmy jeść mięso.

Jarosław Urbański

CZĘSTOCHOWA Walka trwa

W ciągu ostatnich miesięcy rozwój częstochowskich kolektywów wolnościowych nabral rozpędu. Plakatowania i porządkowanie przestrzeni miejskiej są już standardem.

Z początkiem maja ruszyła grupa „Częstochowa bez uprzedzeń”. Coraz częstsze przypadki dyskryminacji oraz bierność władz miasta, skłoniły nas do nagłaśniania takich sytuacji. Grupa zielonych anarchistów wspiera schroniska dla zwierząt wyprowadzając zwierzęta na spacer lub organizując różnego rodzaju zbiórki. Niedawno udało nam się wydrukować pierwszy nakład wlepek, a jeszcze przed wakacjami planujemy wypuścić lokalną gazetkę. Będziemy w niej relacjonować wydarzenia społeczno-kulturalne, jak również sesje rady miasta oraz dzielnic. Zachęcamy do przyłączenia się do naszych działań. Jesteśmy otwarci na nowe inicjatywy. Pamiętajcie również o Food Not Bombs, które w sezonie zimowym rozdaje ciepłe posiłki, a latem prowadzi kampanie antywojenne.

Kontakt: aga.czeszochowa@gmail.com lub za pośrednictwem Facebooka.

TORUŃ Osiedle Winnica II nadal walczy!

W poprzednich numerach A-TAK-u informowaliśmy Was o sytuacji mieszkańców toruńskiego osiedla Winnica II. Dla przypomnienia: osiedle to mieści się tuż przy nowo wybudowanym moście drogowym w Toruniu (ok. 5 minut samochodem od centrum miasta). Władze miasta planują zmianę planu zagospodarowania przestrzennego terenu, na którym znajdują się obecne zabudowania. Zabieg ten pozwoli na budowę bloków w miejscach obecnie stojących domów i eksmisję mieszkańców.

Mieszkańcy Winnicy walczą o swoje domy na wielu płaszczyznach. Ostatnio brali udział w toruńskiej Manifie nagłaśniając wśród społeczności lokalnej problemy m.in. kobiet mieszkających na Winnicy, które lada moment mogą stanąć twarzą w twarz z komornikiem dokonującym eksmisji.

Dzięki staraniom lokalnych działaczy lokatorskich, przy dużym wsparciu warszawskiej grupy RSS, doszło do długo wyczekiwane spotkania Prezydenta Torunia z mieszkańcami. Jego celem było wypracowanie rozwiązań zadowalających walczących o swoje domy mieszkańców. Niestety, postawa Prezydenta i władz miasta po raz kolejny potwierdziła, że dla włodarzy ważniejszy wydaje się interes deweloperów niż dobro mieszkańców. Planowane są kolejne spotkania z władzami. Miejmy nadzieję, że miasto, w związku z coraz bardziej nagłaśnianą sprawą Winnicy, w końcu zacznie poważnie traktować lokatorów.

O sprawie Winnicy zaczyna być głośno również w innych miastach m.in. w Warszawie za sprawą obecności mieszkańców na demonstracji pierwszomajowej organizowanej przez środowiska lewicowe, a także dzięki udziałowi w programie publicystycznym nadawanym przez TVP INFO.

Winnica i przyjaciele walczą dalej!

Sprawę możecie śledzić na bieżąco na: facebook.com/wodadlawinnicy facebook.com/SpolecznyTorun

DNI LOKATORSKIE W LUBLINIE

W ubiegłym roku przybiliśmy nakaz eksmisji na drzwiach Ratusza. Sprawdziliśmy w tym roku - urzędnicy i urzędniczki nadal tam są. A urząd to największa bariera w dochodzeniu swoich praw przez lokatorów i lokatorki. W maju, po raz drugi w Lublinie, wykrzyliśmy podczas manifestacji „Brak pieniędzy to nie zbrodnia – Lublin przeciwko fikcyjnym zadłużeniom” główne problemy lokatorskie.

EKSMISJE ZAMIAST MIESZKAŃ

Tematem przewodnim tegorocznych Dni Lokatorskich był DŁUG. Podczas dwóch dni spotkań, wykładów, warsztatów i projekcji przyglądaliśmy się mechanizmowi powstawania i wychodzenia z długu. Od ubiegłego roku w kwestii zadłużeń nic się w Lublinie nie zmieniło. Poza tym, że dług rośnie. Problem zadłużeń wciąż dot. ponad połowy lokatorów i lokatorek w mieszkaniach komunalnych. W Lublinie jest ponad 9 tys. mieszkań komunalnych, z czego ponad

6200 jest zadłużonych. Władze miasta mówią: wszyscy są tacy sami. Im nie chce się pracować, nie płacą i dewastują mieszkania. Wmawia się nam, że to są ludzie, którzy celowo doprowadzają budżet miasta do ruiny. W ten sposób buduje się społeczne przyzwolenie dla wzrostu eksmisji. Eksmisje, nakazy zapłaty i

egzekucje komornicze, to jedyny sposób na wychodzenie z problemu zadłużenia jaki widzą urzędnicy i urzędniczki. Potrzeba więcej mieszkań komunalnych, a nie eksmisji. W Lublinie ok. 6 tys. osób czeka w kolejce, a w ciągu ostatnich 2 lat urząd nie oddał do użytku ani jednego mieszkania.

Wg danych GUS w Lublinie nastąpił znaczący wzrost wykonywanych eksmisji, a niezmiennie powodem znakomitej większości z nich są zadłużenia czynszowe. Dodatkowe koszty, które obciążają lokatorów i lokatorki, to koszty komornicze, postępowań sądowych o eksmisję oraz grzywny (w przypadku wyroków skazujących za zajęcie pustostanów). Tylko w 2015 r. Zarząd Nieruchomości Komunalnych w Lublinie złożył 97 pozwów o eksmisję i 15 zawiadomień o wdarcie się do mieszkania przeciwko lokatorom i lokatorkom. W ten sposób urząd zadłuża ludzi.

Utrata lokalu przez eksmisję doprowadza do sytuacji patowej. Ludzie zadłużeni z reguły nie pochodzą z elitarnych, zamożnych rodzin i często nie mogą liczyć na żadne wsparcie lokalowe. Wzrasta liczba osób doświadczających bezdomności, które następnie ustawiają się w kilkutyśnej kolejce po mieszkania komunalne, których buduje się maksymalnie kilkadziesiąt w skali roku.

PROGRAM ODDŁUŻENIOWY

Od półtora roku naciskamy na urzędników i urzędniczki, żeby wprowadzili program oddłużeniowy z wariantem całkowitego umorzenia. Dopiero dwa miesiące temu radni i radne dyskutowali na ten temat. Podczas komisji radnych dot. programu oddłużeniowego usłyszeliśmy, że „po przyjęciu programu zaleje nas fala cwaniactwa”, „ludzie bojąc się eksmisji, mobilizują się i dokonują wpłat”, „normalnie, jak ktoś ma długi, siedzi w więzieniu”, „postawmy grubą kreskę – jeśli ktoś przez 3 m-ce nie płaci, od razu go eksmitować”, „jeśli nie ma gdzie - należałoby po prostu stworzyć jakieś kontenery”. Z takim podejściem za rok będziemy w tym samym miejscu, albo cofniemy się przynajmniej o kilka kroków w myśleniu o polityce mieszkaniowej. Programu oddłużeniowego oczywiście do tej pory nie ma.

LOKATORZY NA SPRZEDAŻ

Szykanuje się lokatorów i lokatorki, ale prawdziwa patologia to urzędy. Sprzedają mieszkania z ludźmi prywatnym właścicielom. A co się potem dzieje? Standardowo podwyżki czynszów.

W ubiegłym roku cała Polska usłyszała o radnym dzielnicy, który w Lublinie czyścił kamienicę. Kupił ją za bezcen.



Demonstracja lokatorów/ek podczas Dni Lokatorskich

Niespełna miesiąc później zażądał od lokatorek od 80-400 tys. zł „odszkodowania” za rzekome 10-letnie zaległości czynszowe. Teraz podnosi im czynsz.

Powstał też problem mieszkań zakładowych. Przykładów można szukać w całym kraju. W Lublinie fabryka sprzedała mieszkania zakładowe spółdzielni, a ta - prywatnym właścicielom. Lokatorzy i lokatorki czynsz płacili, ale właściciel nie przekazał pieniędzy zarządcy. Dlatego mieszkanie jest teraz zadłużone mimo wpłat. Odbyły się już dwie licytacje tych mieszkań. Po licytacji nawet nie będzie konieczna rozprawa o eksmisję w sądzie. Od razu pojawi się właściciel z komornikiem, a ludzie trafią do noclegowni albo schroniska. „Mówili: budujcie mieszkania dobrze, bo to mieszkania dla was, dla waszych dzieci i wnuków. Okazało się, że budowaliśmy mieszkania dla przekrętów”. Tak podsumowała to jedna z lokatorek na manifestacji. Walczą w tej sprawie od 17 lat w sądzie.

SOLIDARNOŚĆ NASZĄ BRONIĄ

Problemy mieszkaniowe to problemy społeczne – dotyczą nas wszystkich. Lokatorzy i lokatorki powinni się organizować i jednoczyć, żeby skutecznie przeciwstawiać się tym wszystkim problemom. Akcje lokatorskie robią to już teraz. W Dniach Lokatorskich w Lublinie uczestniczyły osoby z Wielkopolskiego Stowarzyszenia Lokatorów, Kolektywu Syrena, Warszawskiego Stowarzyszenia Lokatorów, Warszawskiej i Rzeszowskiej Federacji Anarchistycznej. Opowiadali o reprivatyzacji, czyszczeniu kamienic i zadłużaniu lokatorów i lokatorek. Nie ma znaczenia czy to Lublin, Poznań czy Warszawa. Wszędzie problem są podobne. Dlatego potrzebujemy wzajemnego wsparcia.

Fotorelację i program Dni Lokatorskich znajdziecie na facebooku Lubelskiej Akcji Lokatorskiej i na www.lubelskaakcjaokatorska.wordpress.com.

CZARNA GALICJA PO RAZ PIERWSZY

Po wielu trudach, o których dziś już nikt nie pamięta, 4 czerwca 2017 r. w Rzeszowie odbył się Zjazd Czarniej Galicji. Organizatorzy, sekcje krakowska i rzeszowska Federacji Anarchistycznej, przewidzieli trzy bloki tematyczne dotyczące historii, strategii, praktyki oraz dyskusję podsumowującą.

Na wstępie uczestnik FA Rzeszów odczytał zarys historyczny, przygotowany przez byłych członków grupy anarchistycznej Czarna Galicja, działającej w Rzeszowie na początku XXI wieku, a od której zjazd zapożyczył nazwę. Odczyt połączony był z prezentacją slajdów i plakatów okresu którego dotyczył. O prasie anarchistycznej lat 1983-2017 opowiedział Mateusz, a Krawat z charakterystycznym dla siebie dystansem i humorem, zaprezentował wydawane przez siebie pismo anarchistyczne Inny Świat. Krótka dyskusja zakończyła tę część zjazdu.

@kordynacja przygotowała dla uczestników zarys sposobów organizowania się na przestrzeni dziejów i współcześnie. To, w jaki sposób pisać i kontaktować się z mediami było kolejnym tematem omawianym przez Mateusza i FA Kraków, a co i jak jest ważne dla uczestnika demonstracji można było się dowiedzieć z prezentacji Anarchistycznego Czarnego Krzyża. Kwintesencją zjazdu stała się dyskusja, w której poruszano wiele wątków nie tylko związanych z omawianymi tematami.

Przez długi czas zjazd miał asystę, raczej nieprzychylnie nastawionych, dość dziwnie zachowujących się młodzieńców, którzy nie wiedzieli jak zareagować na odbywające się zdarzenie. Dzięki wsparciu udzielonemu organizatorom przez gości z Katowic i Warszawy, wszystko przebiegało bezpiecznie. O dobry humor uczestników zadbała grupa z pobliskiej Markowej, a posiłki dostarczyła lokalna grupa Jedzenie Zamiast Bomb. Swoimi stolikami z prasą, książkami i gadżetami kusily Oficyna Trojka i Inny Świat.

Uczestnicy wymienili się nie tylko kontaktami i oczekiwaniami, ale postanowili też opracować niezbędny lokalny aktywista oraz zdeklarowali się wspierać w organizowanych działaniach. Swoją smaczkę i znaczenie miała również część nieoficjalna zjazdu, która była przysłowiową kropką nad „i”.

Zbyszek FA Rzeszów

RABKA

NIE dla nietolerancji w Rabce

W dniu 17 marca 2017r. w Rabce odbyła się demonstracja „Rabka-Zdrój - miasto dzieci, NIE nietolerancji” organizowana przez lokalnych anarchistów i anarchistki (FB: Anarchistyczna Rabka) przy pomocy Federacji Anarchistycznej sekcja Kraków. Protestowaliśmy pod Miejskim Ośrodkiem Kultury, gdzie odbywał się wykład księdza Dariusza Oko pod tytułem „Gender - od tolerancji do totalitaryzmu”.

Już od początku mieliśmy problemy z organizacją pikietki – pierwotni organizatorzy i ich rodziny dostawali telefony, przekazy ustne, z których wynikało, że jeśli demonstracja dojdzie do skutku, to ponieść konsekwencje mogą nie tylko sami organizatorzy, ale również członkowie ich rodzin, którzy byli związani mniej lub bardziej z urzędem miasta – „nieoficjalnie” straszono ich utratą pracy. Ewidentne było, że urząd miasta, współorganizujący wykład księdza Oko, za wszelką cenę nie chciał dopuścić do tego, by demonstracja się odbyła.

Pomimo tego, demonstracja rozpoczęła się planowo przed godziną 18. Mieliśmy transparenty z hasłami: „No Pasaran! Homofobia nie przejdzie.”, „Každy inny wszyscy równi”, czy „Gender znaczy wolność bycia sobą”. W zgromadzeniu wzięło udział kilkunastu uczestników i uczestniczek. Przez megafon staraliśmy się uświadomić ludzi zmierzających na wykład, czym tak naprawdę jest gender, powtarzaliśmy, że homoseksualizm to nie choroba i że totalitaryzm płynie z nietolerancji. Rozdawaliśmy również ulotki, których treść można zobaczyć na fp. Anarchistycznej Rabki. Uczestniczący w pikiecie, zwłaszcza ci mówiący przez megafon i rozdający ulotki, spotykali się z agresją, szarpaniem przez osoby (w większości w podeszłym wieku) zmierzające na wykład księdza. Pojawilo się też jednak kilka osób, które opowiedziały się po naszej stronie. Demonstracja trwała około pół godziny. Po jej zakończeniu poszliśmy na salę posłuchać „mądro-

ści” Oka i zadać mu kilka pytań. Wykład trwał około dwóch godzin, podczas których mogliśmy dowiedzieć się różnych ciekawych rzeczy w stylu: „Popierający gender to dzieci komunistów” czy „Niemcy zawsze wszystko robią porządnie, „gender to od razu kazirodztwo i pedofilia”. Po wykładzie był czas na zadawanie pytań. Reakcją na pytania osób uczestniczących w demonstracji było buczenie i wyzywanie przez większość ludzi zebranych na sali. Oko natomiast udzielał wymijających odpowiedzi.

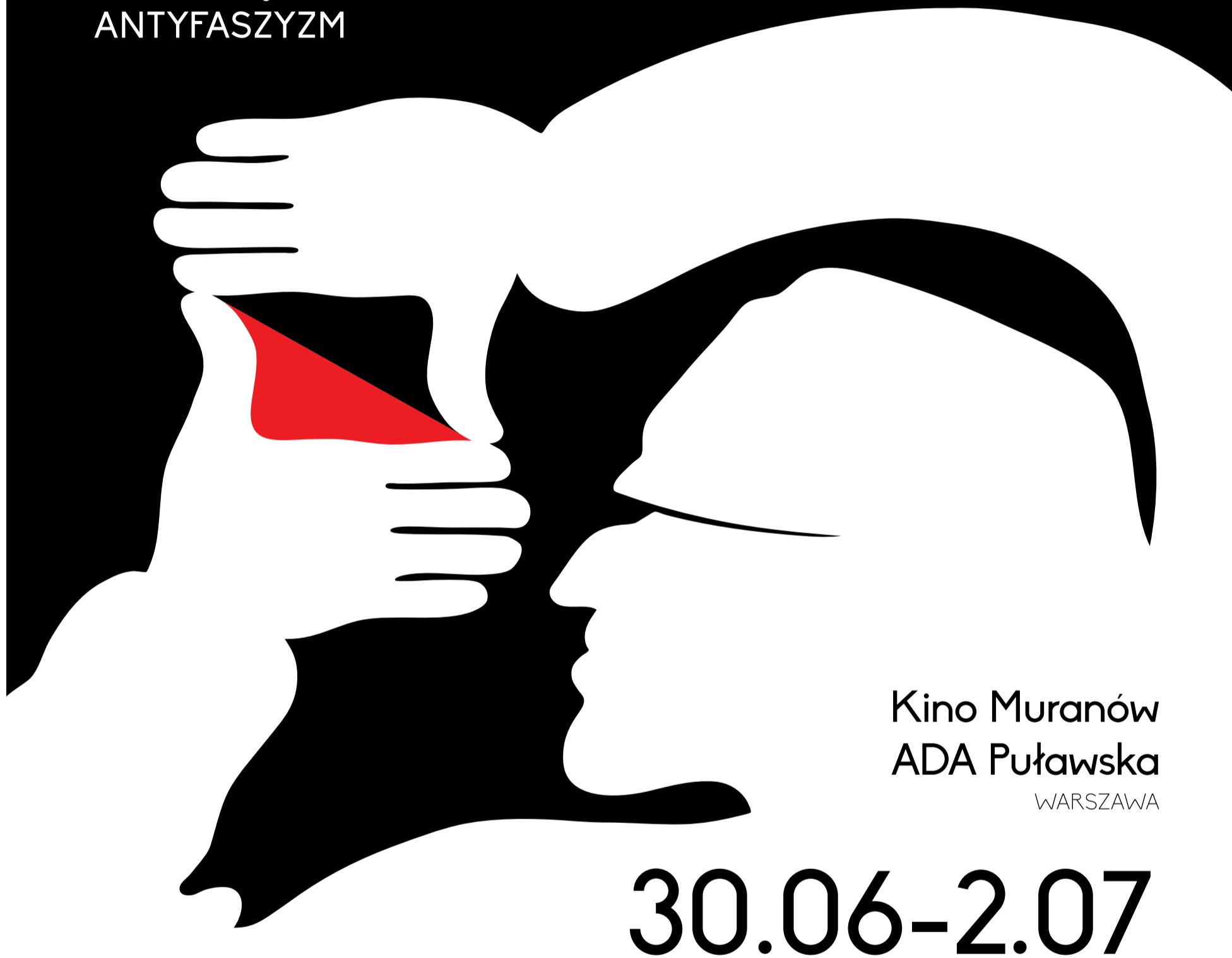
Jeszcze wieczorem w dniu demonstracji, w lokalnych mediach pojawiły się artykuły dot. omawianego wydarzenia. Autorzy wyraźnie stali po stronie Oka i dopuszczali się w swoich tekstach rażących błędów. Pomimo tego, wielu czytelników komentujących artykuły wypowiadało się o naszej akcji w pozytywny sposób. Dato nam to dowód na to, że demonstracje w takich miejscach jak Rabka są potrzebne. Bowiem to właśnie w takich miejscowościach jest najbardziej promowana nietolerancja i na porządku dziennym spotykana jest nienawiść wobec „innych”. Dzięki pikiecie powiedzieliśmy głośno, że nie wszyscy zgadzają się na promowanie takich postaw przez miejski ośrodek kultury i że inne osoby, które tego nie popierają, nie są w swoich poglądach osamotnione.

Anarchistyczna Rabka



ANARCHISTYCZNY FESTIWAL FILMOWY

HISTORIA RUCHU ANARCHISTYCZNEGO
SAMORZĄDNOŚĆ PRACOWNICZA
ANTYFASZYZM



Kino Muranów
ADA Puławska
WARSZAWA

30.06-2.07

Organizatorzy: www.ozip.pl



Radykalny Kinematograf
www.fb.com/RadykalnyKinematograf



Matronat medialny:

LE MONDE EDYCJA POLSKA
diplomatie

ATAK



ATAK

ANARCHISTYCZNA
GAZETA ULICZNA

to pismo dla was, dlatego czekamy na uwagi oraz krytykę, liczymy też na wsparcie. Zapraszamy do jego współtworzenia oraz pomocy w kolportażu.

Wydawanie pisma to nie jedyna nasza aktywność, jesteśmy aktywni w wielu praktycznych działaniach ruchu anarchistycznego – pismo traktujemy jako jedno z narzędzi. Gazetę tworzy kolektyw redakcyjny jeśli chcecie się z nami skontaktować, piszcie na:

atak@riseup.net